

Księstwo SS

Jacek Wilczur



calibre 0.9.27

JACEK WILCZUR

KSIĘSTWO SS

Zdarzenia opisane w tomiku są prawdziwe i udokumentowane. Większość podanych w nim faktów, a także nazwy geograficzne, nazwiska i daty – odpowiadają prawdzie.

W czasie kiedy tomik ten zostaje przekazany do druku, nie wszystko jeszcze, co dotyczy Sowich Gór, jest znane. Sprawa wymaga dokładnego rozpoznania i konfrontacji zeznań nielicznych świadków z tym, co już zostało ustalonych.

Jedno jest całkowicie pewne. Wielka Czarna Sowa nie symbolizuje już dziś zagłady. Urządzenia pozostawione w tym rejonie przez hitlerowców stanowią dziś symbol minionej potęgi mordy i gwałtu, potęgi, która legła w gruzy pod ciosami słowiańskich wojsk.

Wielka Sowa budzi się ze snu

Kto pamięta sytuację w Berlinie w latach 1940–1941, kto przechodził wówczas obok Kancelarii Rzeszy, dziwić się może na widok tego, co dzieje się w pobliżu siedziby fűhrera dziś, w grudniu 1942 roku.

Strzeżone są już nie tylko sam gmach centralny i budynki służbowe; uzbrojeni esesmani pełnią służbę wartowniczą na wszystkich rogach ulic prowadzących

w stronę Kancelarii. Oprócz nich widać spacerujących tam i z powrotem mężczyzn, których profesja nie budzi żadnych wątpliwości.

Czarny Mercedes podjechał bezszelestnie i stanął przed głównym wejściem. Na stopniach budynku oczekiwali już dwaj adiutanci – jeden w mundurze pułkownika

Wehrmachtu,

drugi

w

uniformie

pułkownika lotnictwa.

– Bitte sehr, Herr Direktor – rzekł adiutant

Wehrmachtu, salutując. – Führer oczekuje pana w swoim gabinecie.

– Dziękuję bardzo, panowie, jesteście nadzwyczaj uprzejmi..

W rogach głównego hollu, na półpiętrze i na piętrze stoją z bronią krótką i maszynową ubrani w czarne mundury oficerowie Leibstandarte „Adolf Hitler”.

Prężą

się

przed

dwoma

pulkownikami

i

dystyngowanym cywilem, którzy zdążają w stronę gabinetu fűhrera.

Widać wszystko było tu przygotowane na przyjęcie gościa, w momencie bowiem, gdy tylko pojawił się on w poczekalni, oficer służbowy wskazał wejście do gabinetu wodza.

Fűhrer obydwoma rękami uścisnął dłoń przybyłego.

– Cieszę się bardzo z dzisiejszego spotkania, drogi dyrektorze – powiedział. – Już znacznie wcześniej chciałem zobaczyć pana, ale obowiązki nie pozwalały oderwać się... Wie pan, drogi dyrektorze, na frontach niełatwa sytuacja...

Dyrektor dyskretnie i ze zrozumieniem przytaknął głową.

– Nie będę tracił czasu i jeżeli pan pozwoli, przystąpię do rzeczy. Chcę zorientować pana ogólnie w sprawie, o szczegółach będzie pan rozmawiał z fachowcami z OKH, OKL, OKM*.

Na stole pojawiły się południowa owoce, doskonałe cygara, wody orzeźwiające.

– Drogi dyrektorze, nie ma potrzeby robienia

przed panem tajemnicy z tego, że sytuacja na frontach jest trudna. Naturalnie wyjdziemy tego – fűhrer przenikliwie popatrzył na swego rozmówcę, jak gdyby chciał się przekonać, czy ten podziela jego zdanie na temat przyszłości. – Otóż, jak panu wiadomo, wrogowie bombardują nas dotkliwie, niszcząc skutecznie nasz przemysł zbrojeniowy. Nasze lotnictwo i obrona przeciwlotnicza robią, co mogą, ale nie jesteśmy w stanie uchronić się od poważnych strat.

– Jawohl, mein Fűhrer.

– Otóż w Dowództwie Naczelnym zapadła decyzja na temat tego, jak uchronić się od zadawanych nam z powietrza strat i jak zabezpieczyć produkcję zbrojeniową. Mam na myśli broń konwencjonalną i broń nowego typu.

– Jawohl, mein Fűhrer, słucham pana.

– Lotnictwo nieprzyjacielskie zagraża tym obiektom, które zbudowano na powierzchni ziemi. Czy tak, Herr

Direktor?

– Jawohl, mein Führer.

– Postanowiliśmy przenieść przemysł zbrojeniowy i laboratoria nowych rodzajów broni pod ziemię...

– Rozumiem, mein Führer.

– To dobrze. Bo właśnie chcę panu, Herr Direktor, powierzyć tę trudną i bardzo, ale to bardzo odpowiedzialną pracę.

*** Oberkommando des Heeres - Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych;**

Oberkommando der Luftwaffe - Naczelne Dowództwo Lotnictwa;

Oberkommando der Marine - Naczelne Dowództwo Marynarki.

– Ależ, mein Führer, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, ale czy poddam? Przedsięwzięcie jest ogromne,

powiedziałbym

nawet,

że

przekracza

możliwości normalnych ludzi...

– Ma pan rację, drogi dyrektorze. Dlatego prace związane z przeniesieniem przemysłu zbrojeniowego pod ziemię wykonywać będą ludzie specjalnego typu – nasi zdeklarowani wrogowie: więźniowie polityczni i jeńcy wojenni. Nie stać nas na to, aby tej

barbarzyńskiej hołocie dawać darmo żreć! – tu fűhrer

z pasją uderzył pięścią w stół.

Przez chwilę panowało milczenie, którego Herr

Direktor nie śmiał przerywać.

– Przepraszam pana, dyrektorze, uniosłem się

nieco. Wracając do sprawy, chcę pana jeszcze

poinformować, że nasze Dowództwo Naczelne do-

konało już wyboru miejsca, w którym zamierzamy

uruchomić podziemny system zbrojeniowy.

Fűhrer wstał z fotela i poprowadził swego gościa do

ściany, na której widniała olbrzymich rozmiarów

mapa sztabowa.

– Nie możemy budować fabryk podziemnych zbyt

daleko na zachód – powiedział. – Trudno byłoby

wówczas zorganizować sprawny przewóz surowców ze

wschodu. Nie można też wysunąć ich zbyt na

wschód; ludność nas tam nienawidzi, grasują bandy,

poza tym byłoby zbyt blisko od linii frontu. Tu

wyzaczyliśmy

rejon

budowy

przemysłu

zbrojeniowego – Hitler dotknął wskazującym palcem

mapy.

– Eulengebiet* – odczytał dyrektor i zdziwił się.

Dlaczego właśnie Eulengebiet? Mieszka tam przecież sporo ludzi niezupełnie czujących się Niemcami. Czy nie można było wybrać miejsca gdzieś w głębi Reichu?

– Decyzja ta podjęta została z kilku względów –

Hitler przerwał rozmyślenia swego gościa. – Góry są tam niewysokie i pokryte lasami, drogi dojazdowe

*** Sowie Góry**

nadają się częściowo do transportu, resztę wybuduje się w szybkim tempie. Naszym wrogom nie przyjdzie na myśl, że w głębi starych gór możemy zbudować przemysł zbrojeniowy i stąd właśnie dostarczać dla armii wspaniałą broń.

– Jeżeli można spytać, mein Fúhrer – dyrektor z szacunkiem skłonił głowę – na jaką siłę roboczą możemy liczyć w tym bądź co bądź gigantycznym przedsięwzięciu?

– Otóż właśnie chciałem panu o tym powiedzieć. –

Fúhrer ujął pod ramię swego gościa i poprowadził w stronę stołu. – Nie możemy do tej pracy zaprząć Niemców. Nasi mężczyźni walczą na froncie, walczą na tyłach frontu, w formacjach policyjnych i porządkowych, z bandami. Nawet sporo naszych kobiet chodzi w mundurach wojskowych.

Na chwilę zapadło milczenie.

**– Kuć korytarze podziemne i budować kuźnie naszej
broni – podjął fűhrer po chwili – będą nasi wrogowie.**

**Zatrudnimy więźniów z obozów koncentracyjnych i
jeńców, zmusimy całą tę bandę do pracy dla dobra
Rzeszy.**

**– Jeśli wolno zauważyć, mein Fűhrer... Wydaje mi
się, że to element niezbyt pewny, jeżeli idzie o
zachowanie tajemnicy budowy.**

**– Słusznie pan mówi, drogi dyrektorze. Pa-
miętaliśmy i o tym. Wprowadzimy taki nadzór, że w
czasie prac nic nie przesączy się na zewnątrz. A ludzie
zatrudnieni przy budowie? Ci nikomu nie zdążą
powiedzieć, co widzieli. Mamy na to sposoby...**

– Jawohl, mein Fűhrer.

**W tydzień później w gabinecie szefa referatu V B
odbyła się narada, w której – obok specjalistów z kilku
innych dziedzin – przeważali oficerowie służby
kontrwywiadowczej, zajmujący się ochroną specjalnych
obiektów. Podano zimne napoje, owoce, ciasta, – Also
meine Herren, będziemy zaczynać – szef referatu
przerwał rozmowy, jakie w oczekiwaniu na naradę
prowadzili ze sobą zebrani na sali uczestnicy.**

Zapanowała cisza. Jeszcze tylko tu i tam zaszelecił

blok, ten i ów wyjął pióro, gotów do notowania

ważniejszych myśli mówcy. Oto one, w dużym, rzecz

jasna, skrócie:

...Staje więc przed nami zagadnienie nie byle jakiej

wagi. Zadanie, zlecone nam przez reichsführera

Himmlera, będzie ciężkim egzaminem naszej lojalności,

poświęcenia, sprawności...

...Nie będzie rzeczą łatwą upilnować tak olbrzymiego

obiektu od agentów obcych wywiadów, nie będzie

również łatwo opędzić się od lotnictwa aliantów...

Anglicy, skoro tylko zwąchają, że coś się tu dzieje, będą

próbowali zniszczyć budowę...

...Tak się niestety składa, że na SS, a właściwie na SD,

spada odpowiedzialność za to, żeby Wehrmacht,

marynarka i lotnictwo miały w porę broń, żeby mieli

czym walczyć...

... Być może, nikt z panów generałów nie wspomni

nawet o nas, o naszej służbie i o niebezpieczeństwie, na

które narażamy się dla nich, .ale swoje zrobić musimy...

... Obozy będą urządzone w kilku miejscowościach w

paśmie gór i administracyjne podlegać będą różnym

organizacjom... Przewiduje się, że przy budowie

zatrudnieni będą jeńcy wojenni, przede wszystkim

czerwoni, poza tym Włosi, nie jest wykluczone, że

zatrudni się również Polaków ze stalagów, ale ta sprawa

nie została dotąd wyjaśniona...

... Prócz jeńców zatrudnimy więźniów z obozów

koncentracyjnych. Kilka obozów zgłosiło już akces do tej

sprawy...

... Wojsko nie potrafi strzec tajemnicy i – co gorsza –

Wehrmacht nie upilnuje budowy. W takiej grze

potrzebni są ludzie twardzi, bezwzględnie oddani

sprawie. Nie widzę lepszych ludzi od naszych kolegów z

SD...

Obóz koncentracyjny Gross–Rosen.

Na wielkim placu obozowym odbywa się apel.

Podobnych apeli było już wiele, ale ten różni się od

wszystkich poprzednich.

Więźniowie nie mogą zrozumieć, dlaczego na placu

obok esesmanów stoją ludzie z Organisation Todt* i

cywile, którzy wyglądają nie na kapo, lecz na inżynierów.

Z komendantury wyszedł wysoki esesman, tuż za

nim drugi z grubą teczką w ręku.

– Herr Kommandant – powiedział niższy, zanim

doszli do środka placu – pozwolę sobie zauważyć, że

ten interes z dyrekcją budowy jest opłacalny, a w ogóle

stwarza to dla nas pierwszorzędne możliwości na przyszłość.

– Chyba tak jest, untersturmführer, ale niech pan czasem nie powie tego przy naszych kontrahentach.

Musimy przy nich zachować godną postawę, nie napraszać się.

– Jawohl, Herr Kommandant.

Już od godziny trwa apel pod gołym niebem. Na dworze jest pochmurno, dżdżysto, ludzie stojący w szeregach trzęsą się z zimna.

– Co to może być? – pyta szeptem wysoki, smagły mężczyzna stojącego obok kolegę.

– Nic nie wiadomo, panie profesorze. Jedno tylko jest pewne: to nie na rozwałkę.

– Ale, panie Stanisławie, to może być coś gorszego od śmierci. Nie sądzi pan?

– Po co zaraz myśleć tak ponuro? Przecież to może być transport do lepszej roboty.

– W każdym razie, panie Stanisławie, jeżeli nas wybiorą razem, trzymajmy się blisko siebie... Pst, idą tu...

*** Organisation Todt (w skrócie OT) – zmilitaryzowana organizacja pracy.**

Esesmani, mundurowi funkcjonariusze OT i cywile przechodzili – kolejno przed szeregiem, cywil

wskazywał palcem, esesman wyciągał wskazanego z szeregu, po czym cywil zadawał jednobrzmiące pytania:

- Zawód?
- Lat?
- Czy zna język niemiecki?
- Czy choruje lub chorował w obozie?

W wypadku kiedy zapytany wymieniał zawód:

inżynier – mechanik, technik, spawacz, ślusarz czy górnik, cywil dokładnie wypytywał o specjalność w zawodzie, o znajomość zawodów pokrewnych, o staż pracy. Wszystkich bez wyjątku pytano o znajomość języka niemieckiego...

Wybranych więźniów odprowadzano do baraków po nieliczne przedmioty osobistego użytku, a następnie kierowano ich do łaźni. Wymyjni i dygocący z zimna nie wracali już do swoich baraków.

Umieszczono ich w oddzielnym sektorze, wydano większe niż zwykle porcje chleba.

Następnego dnia zarządzono znów apel, nie uczestniczyli już w nim jednak komendant ani jego adiutant, nie było również cywilów. Wzdłuż szeregów przechodził niższy oficer SS i dwaj funkcjonariusze OT.

Wysoki i tęgi Niemiec z Organisation Todt

wskazywał palcem więźnia i przechodził do następnego. Było oczywiste, że tym razem wybiera się ludzi do zwykłej fizycznej roboty, niewykwalifikowaną siłę do łopaty – urzędników, księży, naukowców, studentów...

Ciemno było jeszcze na dworze, kiedy wachmani pootwierali na oścież drzwi baraków.

– Heraus! Za dziesięć minut wszyscy na placu!

Zabrać klamoty! Ustawić się w dwuszeregu! W

światle reflektorów szeregi więźniów wyglądały jak kompania żołnierzy wyruszających do walki.

– Poszczególne narodowości stają oddzielnie... Między grupami pięć metrów odstępu...

– Panie profesorze, musimy się na razie rozejść... Stanę w grupie Łemków.

– Czy to konieczne, panie Stanisławie? Przecież to jest to samo...

– Dla mnie i dla pana profesora to jest jedno i to samo, ale dla tych zbójów to my dwaj jesteśmy różnej narodowości... Niech się pan nie martwi, na miejscu znajdziemy się... Łemek, Polak czy Francuz to w robocie wszystko jedno... Nie będzie mi lżej niż panu.

– Wiem o tym, ale przyzwyczailiśmy się już być razem.

– I będziemy na pewno razem.

Pod bramą obozową stała duża kolumna ciężarowych wozów, krytych brezentem bud.

Przed szeregiem pasiaków stanął adiutant komendanta obozu.

– W czasie jazdy nie wolno rozmawiać, nie wolno palić, nie wolno podnosić zasłony wozów. Każdy, kto będzie usiłował wyjrzeć z wozu, zostanie rozstrzelany. Nie ma chyba potrzeby przypominać, że ucieczka jest wykluczona.

Po co zresztą uciekać – jedziecie do pracy, nie do obozu. Do pracy na wolnym powietrzu.

Kolumna znalazła się na szerokiej szosie. Za każdym wozem – budą jechał motocykl z przyczepą, w której siedział esesman z karabinem maszynowym. Na przedzie kolumny i na jej tyle jechała w wozach terenowych eskorta uzbrojona w ciężką broń maszynową, pistolety, granaty. W jednym z wozów znajdowały się psy policyjne.

Lamsdorf – stare, słowiańskie Łambinowice, gigantyczny obóz, w którym przebywają jeńcy wielu narodowości.

W barakach szum jak w ulu.

– Panie sierżancie, gdzie oni mogą nas teraz

ciągnąć?

– Cholera ich wie, w każdym razie warto się dowiedzieć... Czy nie mógłbyś spytać którego z wachmanów?

– Żaden z nich nie wie. Próbowałem zagadnąć Fischera i Heiniego, ale obydwaj mówią, że nawet podoficerowie – z komendantury nie znają trasy. Podobno ścisła tajemnica.

– Nie podoba mi się to wszystko, to może być jakieś świństwo.

Ma placu apelowym stoją szeregi jeńców – oddzielnie Polacy, Rosjanie, Włosi...

W momencie gdy komendant w towarzystwie cywila i funkcjonariuszy OT są już blisko, jeniec w polskim płaszczu wojskowym, z naszymi

sierżanta, występuje przed szereg.

– Panie komendancie, sierżant Adamiak ze stalagu VIII B zapytuje posłusznie, dokąd nas wiozą.

Tłumacz powtarza komendantowi słowa polskiego sierżanta, pozostali jeńcy truchleją ze strachu.

– To nasza sprawa, dokąd zawieziemy jeńców wojennych.

– Jesteśmy podoficerami polskiej armii. Zgodnie z przepisami konwencji międzynarodowej nie wolno podoficerów zatrudniać w pracy, o ile podoficer nie wyrazi na to zgody...

– Pan komendant pyta, skąd sierżant wie, że jedzie do pracy?

– Chyba nie na śmierć jedziemy, do innego obozu też pewnie nas nie wiozą, bo wszystko to się robi w pośpiechu... Chcemy przesłać rodzinom nasze nowe adresy.

– Pan komendant mówi, że adresy prześlecie z nowego miejsca, a on nie ma obowiązku tłumaczyć się jeńcowi z armii, która już nie istnieje...

W tym samym czasie podobne sceny powtarzają się w paru innych obozach jenieckich – w kombinacie śmierci „Dora”, w obozie jeńców włoskich w Chorzowie, w Krapkowicach, w Zgorzelcu.

Z „Dory” zabrano ludzi, którzy pracowali przez dłuższy czas przy drażeniu tuneli i mieli praktykę w pracy górniczej.

Drogą z Treest do Spandower, w pobliżu

Peenemünde, idzie dwóch siedemnastoletnich może chłopców. Niosą torby, z których wystają narzędzia ślusarskie. Jeden ma przewieszoną przez ramię piłę.

– Hermann, jak myślisz, będziemy już mieli spokój?

– Chyba tak. Anglicy strzaskali porty, to po co mieliby tu przylatywać? Bombardować gruzy albo nasze pastwiska?

– Nie żartuj, Hermann. Nie mogłem sypiać po nocach, kiedy tu przylatywali. Teraz co prawda to i owo strzaskane, ale przynajmniej wyśpi się człowiek.

– Ale z ciebie patriota, Helmut, nie ma co. Niczym się nie przejmujesz, w nosie masz wszystko, abyś mógł tylko spokojnie spać.

– Nie plótlbyś lepiej, Hermann. Licho nie śpi, mógłbym nieźle oberwać, gdyby tak kto usłyszał...

– Dobra, dobra, nie taki ze mnie frajer, żeby paplać, komu nie trzeba. Sam się cieszę, że ich stąd wyniosło. Nareszcie przestali przyłazić do naszych dziewczuch.

– A nie wiesz, gdzie ich teraz diabli ponieśli?

– Pewny nie jestem, ale jeden z esesmanów mówił, że to, co ocalało od bombardowania, przeniosą teraz gdzieś na Śląsk. Tylko gęba w kubel i nikomu ani słowa.... Esesman powiedział to w największej tajemnicy. Ten wyższy, wiesz, co to jest zaręczony z

naszą Elise...

We wnętrzu Czarnej Sowy

**Gustaw Schneider, mieszkaniec Jugowic, wraca
dziś późno do domu. W Walimiu, gdzie pracuje w
fabryce Lniarskiej, nie podstawiono dziś samochodów
i robotnicy musieli wracać pieszo. Podobno "wozy
zostały wysłane na stację do Walbrzycha, gdzie
znajduje się pilny ładunek.**

**Schneider pracuje wiele lat w Walimiu, urodził się w tych
górach, kocha je i za nic nie chciałby ich opuścić. Życie
stało się ostatnio trudne, hitlerowcy węszą na każdym
kroku wroga, podejrzewają wszystkich bez wyjątku o
skłonność do zdrady, ale Schneider przypuszcza, że
wszystko to skończy się już niedługo.**

**– Tej wojny nie wygramy i wygrać nie możemy –
powtarza po raz któryś z głębokim przekonaniem. –
Przeciw nam stanął cały świat. Hitler to szaleniec i
przestępca. To, co zrobił z naszego narodu, to hańba i
zbrodnia.**

**Dzień dzisiejszy był ciężki – hitlerowska ad-
ministracja zmusza robotników do coraz bardziej
wytężonej pracy. Widocznie kiepsko już na frontach,
skoro propaganda trąbi bez przerwy o potrzebie
zwiększenia wysiłku.**

Schneider nie może znieść widoku ślaniających się z głodu i wyczerpania jeńców radzieckich i włoskich, zatrudnionych w fabryce. Co kilka dni duża lora fabryczna wywozi na miejscowy cmentarz ciała zmarłych.

Żołnierze radzieccy są grzebani nago, jeńcy włoscy w bieliźnie. Tym „pogrzebom” nie towarzyszy ani duchowny, ani koledzy zmarłych. Zасыpuje się grób ziemią, plantuje i wszystko wraca do normy.

Fabryka produkuje na trzy zmiany, ale jeńcy – według jenieckiego wymiaru godzin – pracują „tylko” na dwie, po kilkanaście godzin na dobę...

O Boże, a to co? ;

Schneider nie wierzy własnym oczom. Kiedy wychodził nad ranem do pracy, był przecież zupełnie trzeźwy.

Czyżby omyłkowo wszedł do sąsiedniej wsi? Ależ nie!

Przecież to Jugowice, tyle że inne, niż były rano. Na skraju wsi, od strony Walimia, wyrósł w ciągu dnia duży barak. Przy drodze wiejskiej leżą spore ilości materiałów budowlanych – deski, zwoje drutów, skrzynie, na stosach ustawiono worki cementu, z opakowań drewnianych wystają części jakby maszyn.

Wokół baraku krzątają się ludzie: jedni – odziani w porwane i postrzępione mundury koloru zielonego i

bladooliwkowego – przypominają jeńców z walimskiej fabryki, w innych Schneider bez trudu rozpoznał członków Organisation Todt, choć zamiast narzędzi pracy mieli tym razem na ramionach karabiny.

Przy baraku kręci się dwóch esesmanów. „No, to już niedobrze – pomyślał Schneider. – Tam, gdzie ci są, nie może być wesoło”.

Ani w domu, ani u sąsiadów nie mógł się Schneider dowiedzieć tego dnia, co to się dzieje, co będą tu budować i dlaczego właśnie w Jugowicach, gdzie nie ma ani węgla, ani rudy, ani nafty...

Wieczorem dorfführer* ogłosił mieszkańcom wsi, że nazajutrz, w niedzielę o godz. 10 rano, mają się wszyscy zebrać na polu, tuż za jego domem. W mieszkaniach pozostają tylko dzieci do lat 7 i obłożnie chorzy. Osoby, które nie zastosują się do polecenia, zostaną pociągnięte do odpowiedzialności przed władzami wojskowymi.

– Kiepskie czasy nadeszły dla Jugowic – mówili tego wieczora starzy ludzie.

*

Na łące, tuż za domem dorfführera zebrał się tłum ludzi – Jugowice to wieś wielka, ma paręset numerów.

Dorfführer odczytywał z listy nazwiska, stawiając plusy przy obecnych, a znaki zapytania tam, gdzie podawano „obłożnie chory”. Zaledwie skończył tę czynność, stanął obok niego oficer SS – w stopniu * Naczelnik wsi, tyle co sołtys.

hauptsturmführera. Zdumionych mieszkańców wsi miano wreszcie poinformować, z czym wiążą się wydarzenia ostatniej doby.

– Teren Jugowic i kilku innych miejscowości – mówił hauptsturmführer – został objęty planem budowy... Od

tej

chwili

mieszkańców

osiedla

obowiązuje dyscyplina wojskowa ze wszystkimi konsekwencjami.

...Nie wolno od dnia dzisiejszego, aż do odwołania, zapraszać do Jugowic oraz przyjmować znajomych i krewnych z innych miejscowości. Jedynie osoby z najbliższej rodziny mają prawo przyjeżdżać do wsi, i to po otrzymaniu zgody od kierownictwa budowy.

...Roboty będą prowadzone u podstawy poszczególnych wzniesień... Zabrania się podchodzenia do

stanowisk roboczych na sto metrów... wartownicy

zostali upoważnieni do strzelania.

...Nie wolno kontaktować się z zatrudnionymi na

budowie więźniami i jeńcami... Wszyscy jeńcy i

więźniowie

są

wrogami

państwa

i

narodu

niemieckiego, wszyscy oni czekają na nieszczęście

Niemiec.

...Raz na zawsze zakazuje się mieszkańcom Jugowic

powtarzać gdziekolwiek i komukolwiek o tym, że w

Jugowicach istnieje jakakolwiek budowa, że pracują

jeńcy i więźniowie.

...Wszelkie

naruszenie

dyscypliny

zakazów

traktowane będzie jako zdrada narodu i Rzeszy,, i

karane z całą surowością prawa wojennego.

...Uprzedza się mieszkańców osady...

Od tego dnia przez wiele tygodni Gustaw Schneider,

wracając z fabryki Lniarskiej w Walimiu, zastaje zmiany w swojej rodzinnej wsi. Rosną nowe baraki, po drewnianych wzniesiono cementowe, buduje się wciąż nowe magazyny, z każdym dniem przybywa więźniów.

W ciągu paru tygodni zbudowano jeszcze dwa obozy.

Służbę wartowniczą w obozie na krańcu wsi, od strony Jaworzna, pełnią esesmani, na drugim krańcu, od strony Walimia, strzegą obozu funkcjonariusze OT.

Schneider

nigdy

dotąd

nie

słyszał,

aby

Organisation Todt miała swoje własne obozy. Zaskoczyło to również jego sąsiadów i przyjaciół, nawet tych bardziej otrząskanych.

Nie to jednak było najciekawsze.

W kilka dni po tym, jak w Jugowicach stanął pierwszy barak i zwieziono tu pierwszą grupę więźniów, rozpoczęła się praca u podstawy wzgórza, które ze strony zachodniej osłaniało Jugowice.

W podstawie góry wykopano kilka dużych

otworów – każdy jak spora brama wjazdowa, po czym więźniowie wryli się w skalny grunt. Po dwóch dniach takiej pracy nie było już ich z zewnątrz widać, a po dwóch tygodniach korytarze drążone w głąb góry były tak głębokie, że wjeżdżała do środka kolejka wąskotorowa. Wracając, wypełniona ona była ziemią i gruzem skalnym, które następnie wywożono daleko, za wieś. Część gruzu, przede wszystkim większe odłamy skalne, pozostawiono zresztą na miejscu dla własnych potrzeb.

Mieszkańcy Jugowic widywali wielokrotnie, jak z pudeł powracającej z wnętrza góry kolejki wynoszono ciała nieżywych więźniów. Dwukrotnie zauważono, że zmarli mieli na bluzach duże plamy krwi.

Z opowiadań wachmanów, którzy dość często w rozmowie z młodymi dziewczętami łamali rozkaz milczenia, wiadano, że korytarz główny sięga już daleko i trwają prace przy budowie bocznych korytarzy.

Z początku ludzie mieszkający w pobliżu wlotów tunelowych słyszeli wydobywające się z wnętrza głuche detonacje.

– To wysadzają skalę – mówili obeznani z górniczym

rzemiosłem lub ze służbą saperską.

Czasem jednak odgłosy wydobywające się z korytarzy były inne w tonacji, krótkie, metaliczne, suche. Znamcy górniczego rzemiosła i saperskiej służby nic wówczas nie mówili. Niektórzy zaciskali pięści. Ludzie milczeli ponuro, nie patrząc sobie w oczy.

Ten stan nie trwał zresztą długo – prace posuwały się w szybkim tempie i na lorach wagoników wwożono w głąb korytarzy wciąż nowe ilości szyn kolejowych, zwrotnic, urządzeń rozdzielczych.

W tym samym czasie, kiedy ruszyła budowa tuneli w Jugowicach, rozpoczęto pracę w Sierpnicy i Kolcach, a wkrótce po tym także na skraju Walimia, tam gdzie osada graniczyła ze wsią Rzeczka.

Technika przebijania się w głąb góry była wszędzie jednakowa, z tym że zakres prac był różny. Najwięcej tuneli przebijano w Jugowicach, mniej w Walimiu,

Sierpnicy

i

Kolcach.

W

Sierpnicy

i

Kolcach

zatrudniano między innymi więźniów – Żydów. W

Kolcach komando żydowskie było bardzo pokaźne –

kilkuset Żydów drążyło na zmianę otwory w skałach,

pracowało w magazynach i przy obsłudze maszyn.

Od samego początku wprowadzono na budowie

morderczą dyscyplinę, przestrzegając przy tym

rygorystycznie

całkowitej

izolacji

więźniów

od

pozostałego świata. Za próbę porozumienia się z

mieszkańcami wsi bito aż do śmierci, a jeżeli zdarzyło

się, że więzień przetrzymał bicie, dobijano go z

pistoletu lub karabinu.

Nawet najmniej domyślni ludzie spośród miesz-

kańców tej części Sowich Gór uważali, że ta nieludzko

ostra dyscyplina nie jest tylko na pokaz, że się za nią

coś kryje.

W Kolcach i w Sierpnicy wachmani postrzelili

miejscowych Niemców, – którzy zapuścili się zbyt

blisko

wejść

tunelowych.

W

Jugowicach

**funkcjonariusze OT niemiłosiernie pobili dwóch
chłopców z Hitlerjugend, którzy wszedłszy na wysokie
drzewa, obserwowali stamtąd, co dzieje się na placu
budowy.**

**Nie pomogło wstawiennictwo organizacji HJ ani
rodziców. Obydwaj chłopcy powędrowali do aresztu w
Wałbrzychu, gdzie przesiedzieli po miesiącu.**

Ludzie – roboty wiercą korytarz w głąb góry.

**Robotnicy to niezwykajni – w świetle lamp
elektrycznych, zwisających nisko z pułapu, wyglądają
jak aktorzy upiornego teatru. Ludzie – roboty
chodzą odziani jakby w piżamy – pasiaste spodnie i
bluzy wyglądają tu nienaturalnie.**

**Kiedy robotnik stojący blisko czołowej ściany
podniósł się na chwilę, w świetle lampy można było
zauważyć straszliwie wychudzoną twarz i przyszyty
do pasiastej bluzy kilkucyfrowy numer.**

**Wszyscy pracujący w korytarzach i tunelach
wyglądali jak po przebytej, ciężkiej chorobie, wszyscy
nosili numery na bluzach i na spodniach.**

W tyle rozległy się kroki i z ciemności wyszedł,

przyświecając

sobie

lampą

elektryczną,

funkcjonariusz OT.

– Los, was ist denn hier? – ryknął.

**– Natrafiliśmy na zwartą płytę skalną, Herr
Meister, i na razie nie możemy jej skruszyć –
odpowiedział młodszy mężczyzna w pasiaku.**

**– A co mnie to obchodzi, wy francuskie i polskie
bydło! Co mnie obchodzi, że trafiliście na płytę? –
ryknął znów „herr” majster. – Myślicie sobie, że ja
nie umiem liczyć? Otrzymaliście, śmierdzące
kanalie, pięć kostek materiału wybuchowego i
ciągle stoicie w miejscu! – Krzyczał tak głośno, że
trzęsły się od jego krzyku blade – żółte żarówki.**

**Gdzieś w bocznym korytarzu huknął strzał, a
echo rozniosło jego odgłos po korytarzach i
sztolniach podziemnego królestwa.**

**Niemiec przestał krzyczeć, więźniowie na moment
znieruchomieli przy swej pracy; zatrzymały się na
krótce oskardy, łopaty, łomy.**

– Gruby Artur znów kogoś wykończył – szepnął

młody chłopiec ze świeżą blizną na szyi.

– Weiter, robić – przerwał ciszę majster. Chwilę jeszcze postął i odszedł w mrok korytarza.

– Barylka jest skończonym łobuzem, klnie i bije za byle co, ale nie lubi mokrej roboty. Temu nie podoba się strzelanie do ludzi.

– No i co z tego, że sam nie strzela, skoro jego nahajka odbiera zdrowie i robi z ludzi kaleki? A potem to już raz dwa człowieka na taczki włożą i wywiozą do jamy.

– Róbmy, koledzy, bo i my oberwiemy.

– Żeby można było wrócić do Gross-Rosen, to bym na kolanach wracał... Tam przynajmniej było jasno i nie ślepiło się.

– Jaka to różnica, czy zdechnąć w obozie za drutami, czy w górach? Żadna. Tyle tylko, że tam umierało się dłużej.

– Właśnie o to idzie, że umierając dłużej, można było doczekać końca wojny...

Potrzebna jest cudowna broń.

Równocześnie z pracami przy drażeniu korytarzy i sztolni w głębi gór, trwa od pierwszych dni budowa systemu naziemnego. Tysiące ton cementu, żelaza, stali i drzewa.

Nad budową systemu umocnień trwałych czuwają specjaliści z Wehrmachtu i Luftwaffe. Również w tych sektorach budowy funkcje kierownicze pełni OT, a funkcje wartownicze SS.

Siecią budynków żelbetonowych otoczono Jugowice, a w lesie okalającym to osiedle zbudowano silny system obrony przeciwlotniczej. Przy każdym stanowisku baterii dział pelot zbudowano z cementu i cegły schowki na amunicję, smary i zapasowe przyrządy artyleryjskie. Już w trzy miesiące po rozpoczęciu olbrzymiej budowy lasy wokół Jugowic, Sierpnicy i Walimia, oglądane z niskiego lotu, wyglądały jak linia Maginota.

Na teren budowy przybywają często inspekcje z Wrocławia, rzadziej – ale regularnie – z Berlina. Każda wizyta oficerów ze stolicy kończy się libacją w kasynie SS.

Jest ciepłe przedpołudnie. Przed budynkiem dyrekcji budowy czystutko jak w salonie. Wejścia strzegą – dwaj smukli esesmani, po placyku kręci się w pełnej gali kapitan Wehrmachtu, spozierając co pewien czas na zegarek.

Wewnątrz budynek wygląda odświeżenie – na parterze w dużych donicach ustawiono całe krzaki młodego świerku, poręcz schodów lśni, jakby ją

pociągnięto

lakierem,

drewniane

stopnie,

wy-

szorowane, wyglądają jak w Wigilię Bożego Narodzenia.

Najbardziej jednak uroczyście przybrano gabinet

dyrektora

na

piętrze.

Stoły

pokryto

zielonym

materiałem, na podłodze ułożono grube, wzorzyste

chodniki, które tłumią kroki, ściany przyozdobiono

gałązkami jedliny i sośniną, z której zwisają szyszki.

Na stołach stoją butelki z wodą rzeźwiącą, duże

popielnice wykonane z kamienia – uboczny produkt

pracy

więźniów.

Przy

popielnicach

leżą

paczki

najlepszych papierosów, cygara...

**Duży portret fiihrera również ozdobiony jest jedliną,
a z górnego rogu ramy zwisa jedwabna wstęga w
kolorach państwowej flagi Niemiec.**

**W gabinecie panuje cisza; trzech obecni tu mężczyźni
w milczeniu palą papierosy, czasem któryś z nich wyjrzy
za okno i znów wraca do swego stolika.**

**Jest ich pięciu: pułkownik Wehrmachtu, pułkownik
lotnictwa, komandor marynarki, tęgi cywil z odznaką
partyjną w klapie i sturmbannführer SS.**

**W momencie kiedy cywil otworzył usta, chcąc pewnie
zwrócić się z czymś do pozostałych, na dziedzińcu zaczął
się ruch.**

**– Przyjechali – powiedział siedzący najbliżej okna
oficer lotnictwa.**

Wszyscy obecni zerwali się z miejsc i zbiegli na dół.

**Stały tu już obok siebie wozy, z których wysiadali
ludzie. Dwaj z nich nosili szlify generalskie, pozostali
mieli na sobie okrycia bez dystynkcji.**

**– Panowie pozwolą, tędy proszę, panowie łaskawie
pozwolą – cywil prowadził swoich gości na
górze, wskazywał miejsca przy stole.**

**Tu dopiero, w gabinecie dyrektora budowy, gdy
goście zdjęli okrycia, okazało się, że wśród przybyłych**

było siedmiu generalów Wehrmachtu i Luftwaffe,

admirał,

kilku

pułkowników

różnych

służb

i

gruppenführer SS.

**– Najserdeczniej witam panów w naszej kwaterze
bojowej w Sowich Górach – padły słowa powitania. –**

**Myślę, że to, co dziś panom zaprezentujemy, jest już
osiągnięciem wcale nie małym, mimo że staramy się
zwiększać wciąż tempo naszego wysiłku...**

**Kierowcy odprowadzili wozy w cień, pod naturalny
dach z gałęzi drzew, sami udali się do miejscowej
kantyny.**

Na dziedzińcu pozostała jedynie straż esesmańska.

**Wartownicy spacerowali po dziedzińcu, spotykali się
na rogach placyku i znów zawracali. Nie mówili do
siebie, jakby każdy zajęty był jedynie samym sobą, ale
oczy ich pilnie wpatrywały się w kierunek, którego im
kazano strzec.**

**Jedynie w kuchni nie obowiązuje dyscyplin, nie ma
marsowych min, nie ma gali ani dyscypliny.**

- Klaus, chciałbyś mieć taki wózek jak ten, z którego wysiadł ten gruby generał ostrzyżony na jeża?
- Wóz może by się i przydał, ale nie chciałbym ponosić takiej odpowiedzialności, jaką ponosi pasażer wozu.
- Odpowiedzialność nie taka znów duża, za niego myślą tu, w Sowich Górach, on jest tylko od rozkazywania.
- Ee, chyba się mylisz, Klaus, on też musi myśleć, inaczej umarłby z głodu... A wiesz przynajmniej, skąd są te wozy?
- Jak to skąd? Z Berlina i Wrocławia...
- Ej ty, ciemna pało, kuchciku! Z Wrocławia, mówi, z Berlina...
- Z czego się śmiejesz, idioto? A ty co, nie kuchcik?
- Jestem, owszem, ale w szkole nauczyli mnie czytać i liczyć. A poza tym służyłem w 1941 roku w Berlinie, to coś niecoś widziałem.
- No, to gadaj – odezwał się milczący dotąd szef kuchni, jedyny, który tu nosił bluzę mundurową z naszywkami scharführera SS.
- Wszystkie wozy są z Naczelnego Dowództwa, tylko tablice mają zdjęte... Widziałem, jak kierowcy

okręcali je szmatami i kładli do swoich kabin...

– Aleś wścibski, Karl – scharführer z podziwem

patrzył na podwładnego.

– Jeden Mercedes jest z OKW, dwa z OKL i jeden z

OKM... a gruppenführer jest od nas, z RSHA*.

– Dobrze już, dobrze, ale zamknij się Karl, i niech cię

Bóg broni, abys swojej Gercie pisnął choć słówko,

rozumiesz? Ona ma gębę od ucha do ucha, jutro cały

Śląsk będzie o wszystkim bębnił.

– Scharführer, niepotrzebnie, się pan denerwuje.

Pamiętam dobrze treść przysięgi, pary nie puszczę, może

pan być spokojny.

– Spróbowałbyś puścić parę, to szlag trafi nie tylko

pracę w kuchni, ale może zdarzyć się coś znacznie

gorszego...

– Jawohl, Scharführer.

– W tym gronie osób nie mamy potrzeby wysilać się na

propagandowe mowy – kolejny mówca rzeczowo

kontynuował swoje wywody. – Sytuacja na frontach

*** Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.**

wygląda nieprzyjemnie... Jesteśmy wciąż spychani,

opuszczamy kolejno te tereny, które w krwawym wysiłku

zostały zdobyte przez naszego żołnierza... To, czym

obecnie dysponujemy, mam na myśli naszą broń, to nie starcza. Amerykanie i Anglicy zwiększyli produkcję broni i sprzętu, mają olbrzymie rezerwy surowcowe, a rezerwy ludzkie rosną, w miarę jak my się cofamy z okupowanych terenów...

General skończył i usiadł, zwinny adiutant napełnił szklankę orzeźwiającym płynem, otworzył pudło z cygarami.

– Również my, walczący w powietrzu, odczuwamy poważny brak sprzętu, który by dorównał temu, czym dysponują nasi przeciwnicy – oznajmił przedstawiciel Luftwaffe. – Produkcja samolotów i doskonałej broni pokładowej w zakładach amerykańskich, brytyjskich i rosyjskich zdaje się osiągać szczyt. Jeżeli tak dalej pójdzie, nie poradzimy sobie w powietrzu. Z tym wiąże się również produkcja broni przeciwlotniczej.

W miarę jak upływały minuty, obecni na sali stawali się coraz bardziej zasepieni. Wypowiedzi kolejnych mówców pozbawiony były również akcentów optymizmu.

– Rozumiemy, że wy tu robicie, co jest możliwe, ale wysiłek wasz jest wciąż nieproporcjonalny w stosunku do naszych potrzeb... Chcę przez to powiedzieć, że musicie, panowie, zwiększyć wysiłek. Nie zapominajmy, że możemy nie zdążyć....

Teraz głos zabrał gruppenführer SS:

– Nie jestem specjalistą od spraw technicznych, nie znam się na rodzajach broni, na chemii ani fizyce...

Odpowiadamy za bezpieczeństwo wewnątrz i na zewnątrz budowy, i o tym chcę mówić. Budowa otoczona jest ścisłą tajemnicą, mimo że bardzo dużo wysiłku nas to kosztuje. Nie ma potrzeby się krępować i czuję się w obowiązku powiedzieć, że nie szczędzimy życia ludzkiego... Naturalnie, życia naszych wrogów. Więźniowie pracują bez wytchnienia. Sprowadziliśmy z kilku krajów co znaczniejszych specjalistów, dbamy o utrzymanie tajemnicy w obrębie samej budowy, jak też i na zewnątrz. Niemniej jednak sprawa przeciąga się. Wiecznie nie uda nam się ukrywać przed wrogiem tajemnicy... Mamy dowody na to, że wywiad rosyjski czegoś się domyśla. Szperają, jakby chcieli przeniknąć do Sowich Gór. W zeszłym tygodniu przechwyciliśmy grupę jeńców rosyjskich, którzy podeszli niemal pod samo laboratorium. Okazało się, że jeńcy ci, z zawodu ogrodnicy i leśnicy, sprawdzali stan zadrzewienia, wyrównywali teren i przykrywali ściółką wierzchy drewnianych beczek, w których zasadzono maskujący las...

– Sprawdziliśmy, że wszystko jest w porządku –

kontynuował po chwili gruppenführer SS. – Jeńcy

zostali

przyprawieni

przez

naszego

funkcjonariusza,

niemniej

jednak

popelniono

niewybaczalny błąd. Jeńcy podeszli tak blisko

urządzeń wentylacyjnych, że mogli je zobaczyć i

nanieść na papier... Wywiad rosyjski nie śpi.

Polecilem całą grupę jeńców – ogrodników zlik-

widować, a funkcjonariusza, który dopuścił ich do

strefy zakazanej, przenieść do służby w jednym z

kacetów...

Ostatni mówca, komandor marynarki, był najmniej

wybredny w dobieraniu terminów.

– Nas, marynarzy, nie interesuje to, jakie są koszty

produkcji – mówił. – Ani to, ilu więźniów i jeńców

skończy życie w Sowich Górach. Musimy mieć broń,

która zniszczy przeciwnika i zapewni nam zwycięstwo.

Musimy mieć środki do utrzymania się na morzu, bo

dotąd sytuacja przedstawia się kiepsko. Bronią

konwencjonalną nie utrzymamy tego, co nasi koledzy
zdobyli w ciągu kilku lat, płacąc za to zdrowiem i ży-
ciem. Zostałem upoważniony do tego, aby powiedzieć,
że liczymy na was i że od waszych osiągnięć zależy nasze
zwycięstwo... Alianci obrócili w gruzy co najmniej
połowę naszych zakładów zbrojeniowych, a zniszczenie
ośrodka w Peenemünde jest dla nas ciosem bardzo po-
ważnym. Warto tu zwrócić uwagę i na to, że lotnicy
nieprzyjaciela byli doskonale zorientowani co do
poszczególnych celów. Czy nie oznacza to, że wywiad
przeciwnika
pracuje
bardzo
dobrze,
a
nasz
kontrwywiad nieco gorzej?...

Więźniowie w monoklach

We
wnętrzu
gór
trwa
nieprzerwanie
praca.

Zmieniają się jedynie ludzie – roboty, strażnicy

pozostają ci sami.

Więźniowie nie wytrzymują tempa pracy, każdego dnia padają w podziemnych korytarzach i w drodze powrotnej do baraków. Ci, którzy dziś grzebią w lesie ciała kolegów, w kilka dni później sami dzielą ich los; i tak trwa od samego niemal początku.

Śmierć jest w tunelach Sowich Gór jedynie kwestią czasu. Chorych nie leczy się, więźniom nie wydaje się lekarstw, co tydzień przeprowadzane są jedynie selekcje.

Najbardziej daje się we znaki głód – więźniowie otrzymują wprawdzie posiłki trzy razy dziennie, ale porcja chleba nie starczyłaby nawet dla dziecka, a „obiad” składa się z litra „zupy”, która prócz osolonej wody zawiera z rzadka plasterki ziemniaków i kilka kostek brukwi.

Więźniowie zjedli wszystką trawę i pokrzywy wokół baraków, wszystkie szyszki spadające z drzew na trasie codziennego przemarszu. W głębi podziemnych korytarzy obgryziono całą korę drzewną.

Na terenie olbrzymiej budowy istnieją jednak komanda – a takich jest trzy – w których zatrudnieni więźniowie mają doskonale warunki – po kilogramie

chleba na dzień, dwudaniowe obiady, wieczorem

prawdziwa herbata z cukrem, dwa razy w tygodniu

owoce...

Takie „książęce” komanda zatrudnione są, po

jednym,

w

Jugowicach,

Sierpnicy

i

Walimiu.

Więźniowie tych komand zamieszkują w oddzielnych

barakach, wyposażonych w umywalnie, łazienki z

prysznicami, są czysto i dostatnio ubrani. Nie zdarzyło

się jeszcze, aby którykolwiek z nich został uderzony

przez esesmana lub kogokolwiek ze służby OT. Sami

esesmani mówią między sobą, że chcieliby mieć takie

warunki, taki dostatek papierosów, piwa i owoców.

Komanda te oznaczone są: I-1, I-2, I-3, dowódcami

straży każdego z nich jest oficer, więźniom nie mówi

się po prostu „ty”, lecz z szacunkiem – Herr Ingenieur,

Herr Professor.

Do „więźniów w monoklach” nie mają dostępu

szeregowi pracownicy OT, a w czasie pracy to-

warzyszą im cywile lub umundurowani funkcjo-

nariusze SD.

Raz w tygodniu w każdym z trzech komand odbywa się spotkanie z dyrekcją całej budowy; w takich wypadkach wzmocnione posterunki stoją przed wejściem, a patrole krążą w najbliższej okolicy baraku.

Dyrekcja budowy wysoko ceni tych „nietypowych” więźniów; na wypadek choroby każdy z nich leczony jest w szpitalu SS w Wałbrzychu, gdzie przez cały czas pobytu nie odstępuje go ubrany po cywilnemu funkcjonariusz tej formacji.

Do

pomieszczeń,

w

których

zatrudnieni

są

więźniowie specjalnego komanda, nie wolno wchodzić

więźniom jakiegokolwiek innego odcinka pracy. Za

złamanie tego zakazu grozi śmierć.

– No, i jak poszło dzisiaj, monsieur doktor?

– Robiliśmy to, co zawsze. Wydaje mi się, że coraz

lepiej rozumiem, do czego zdążają nasi gospodarze.

– Pst, panie profesorze, tu mogą być urządzenia

podsluchowe.

– Sprawdziliśmy z inżynierem Lambertem, nie ma takich urządzeń, bo i po co? I tak musimy robić wszystko, czego od nas żądają.

– Co myśli pan, profesorze, o tej całej zabawie?

Czego oni chcą od nas?

– Myślę, że nasze komando jest tylko częścią jakiegoś systemu, którego nie widzimy, panie docencie. Prawdopodobnie takich komand, jak nasze, jest tu kilka. Zresztą, wiozą nas do pracy w szczelnie zakrytych samochodach, przed wejściem do

pomieszczeń zakładają a oczy opaski... Chcą przed nami ukryć trasę przejazdu, ale nie tylko o to idzie. Prawdopodobnie obawiają się ucieczki któregoś z nas, no i zdrady miejsca budowy.

– Myślę, panie profesorze, że to, co robimy, ma związek z produkcją zbrojeniową...

– Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Wystarczy rozejrzeć się po naszym baraku. Cała międzynarodówka, i to ludzie, bez których nie : można

się obejść przy współczesnej produkcji zbrojeniowej.

Mam na myśli, oczywiście, nie produkcję karabinów i granatów,

ale

broni

innego

typu.

Broni

niekonwencjonalnej...

– Boże drogi, panie profesorze, co pan ma na myśli?

– Nie wiem jeszcze na pewno, ale wydaje mi się, że to jest grubsze łajdactwo. Nie podano nam nazwy gór, do których zostaliśmy przywiezieni, nie wiemy nawet, czy znajdują się one na terenie dawnej Rzeszy, czy w kraju okupowanym... Nasz kolega geolog twierdzi, że jesteśmy gdzieś na Śląsku, ale i on nie jest tego całkowicie pewny.

– Niech pan spojrzy na kolegów – kontynuował po chwili. – Wszyscy bez wyjątku mają tytuły naukowe, sami wybitni specjaliści w chemii, fizyce, metalurgii, jest specjalista radiolog, są oficerowie dyplomowani – specjaliści od budowy urządzeń fortecznych. Czy nie mówi to panu, że budowa, którą my pomagamy

Niemcom wznosić, ma jakieś szczególne znaczenie?

– A to, co robiliśmy dziś z kolegą Hartmanem?

Przecież badanie zawartości rud uranowych nie ma nic wspólnego z produkcją najwspanialszych nawet armat i czołgów.

– A po cóż by sprowadzano w te góry specjalistów od fizyki jądrowej, znawców techniki przechowywania materiałów rozszczepialnych?

– Czy myśli pan?....

– U nich wszystko jest możliwe. Widział pan kiedy, żeby dla produkcji na przykład okrętów podwodnych lub bomb porywano i wywożono z całej Europy fizyków i chemików? Tego pan nie widział, a więc po co nas tu zwięziono?

– Zresztą, gdybyśmy mieli pomóc Niemcom przy produkcji bomb i pocisków, musiano by nas wozić na poligony artyleryjskie. A poza tym nikt z nas nie pracował przed aresztowaniem w zakładach zbrojeniowych...

Pierwszy lot

Był styczniowy wieczór 1944 roku.

Już dawno, w czasie kiedy do Sowich Gór

przywieziono pierwsze grupy więźniów i jeńców

zatrudnionych przy budowie systemu podziemnego,

policję

tutejszą

zastąpiło

SS,

Wehrmacht

i

funkcjonariusze OT.

Ulicami osady przemykają gdzieś ludzie. Co

młodszych zabrano na front i do różnych służb na

terenie kraju, zostali sami młodzi chłopcy po

kilkanaście lat i starcy, którzy na razie nie muszą

jeszcze latać dziur na froncie.

Nielatwo jest obecnie wyżyć w osadzie – system

kartkowy nie stanowi wprawdzie najgorszej biedy,

gdyż ludzie nauczyli się go omijać, ale coraz trudniej

jest

wymigiwać

się

od

najprzeróżniejszych

świadczeń, a SS interesuje się w coraz większym stopniu tym, z czego kto żyje, co myśli i robi. Całe szczęście, że junaków z SS można łatwo poskromić za pomocą dwóch kieliszków wódki, kawałka boczku czy paru liści tytoniu.

W momencie gdy z bramy fabrycznej zaczęli wychodzić robotnicy drugiej zmiany, zawyła syrena przeciwlotnicza.

– Co to jest, do jasnej cholery? Czyżby alianci zważali coś?

Przecież

dotąd

ani

jedna

nieprzyjacielska bomba nie spadła na budowę w

Sowich Górach/

Dorfführer biegiem dopadł swego domu.

– Co z dziećmi? Dlaczego pozwalasz dzieciom wychodzić po zapadnięciu zmroku? Mówiłem ci, że to się niedobrze skończy. Ta banda z trupimi główkami nie żartuje i nie odróżnia dziewcząt szkolnych od dorosłych kobiet. Chyba nie chcesz, żeby...

Dorfführer, który tak odważnie w przyplywie

wściekłości formułował swoje zdanie na temat elity
narodu, nie zdążył dokończyć myśli. W tym momencie
bowiem
znów
przeraźliwie
zawyły
syreny,
a
jednocześnie osadą wstrząsnęły salwy, od których
szyby zadrżały w starych domach osiedla.

–T O, mein Gott! A te szczeniaki gdzieś poszły. Boże,
zlituj się nad nami... Heinrich, idź ich poszukaj, boję
się, żeby się coś nie stało...

Powietrze rozdarły następne wybuchy. Wydawało
się, jakby to było gdzieś całkiem blisko.

– Heinrich!

– Przestań się wydzierać, to nie bomby, to nasza
artyleria przeciwlotnicza, nic nam nie grozi... Wiesz
przecież, że nasi stoją na krańcu wsi. Widocznie
zauważyli obcy samolot i piorą do niego.

– Leutnant Freiwirth!

– Na rozkaz, panie majorze.

– Czy to u was było to piekło?

– Tak jest, panie majorze. Właśnie podnosiłem

sluchawkę, żeby panu zameldować. Z kierunku północnego nadleciały dwie maszyny. Żadna nie miała znaków rozpoznawczych. Na naszą salwę odpowiedziano milczeniem. Pomyłka wykluczona.

Stacja trzecia wezwała ich do lądowania, ale tamci zatoczyli koło i odlecieli. Myśleliśmy, że nie wrócą już, ale w kilka minut później mieliśmy ich znów. Czegoś tu szukają.

– To nietrudno odgadnąć.

– Powiadomiłem wszystkie okoliczne stanowiska i stacje, prosząc jednocześnie o podanie mi informacji.

– Czy rozpoznano sylwetki maszyn?

– Były to uzbrojone Liberatorzy, pozbawione jakichkolwiek cech przynależności państwowej.

Mogły to być maszyny RAF, ale nie wykluczone, że Rosjanie mają również te samoloty.

– Na pewno mają, poruczniku. Mają wszystko, co potrzeba, żeby nas niepokoić...

*

Wałbrzych. Godzina 19.25.

Reflektory

obrony

przeciwlotniczej

wymacują

**niespokojnie niebo; to tu, to w innym miejscu w
ciemności nocy kryje się wróg, który z dalekich
lotnisk przyleciał, żeby siać zniszczenie i śmierć –
śmierć dla Niemiec, niemieckiego przemysłu i
transportu,
stanowisk
bojowych
i
warsztatów
naprawczych taboru wojskowego...**

– Jest...

– Działo, ognia!

– Działo, ognia!

**Kanonada trwała krótko. Obce maszyny zacho-
wywały się dziwnie; nie bombardowały obiektów, nad
które
przyleciały,
szukały
jakby
czegoś,
nie
odpowiadały nawet ogniem broni pokładowej na
ogień obrony pelot.**

Berlin. Siedziba RSHA.

–

Otrzymaliśmy

przed

pięcioma

minutami

meldunek z Sowich Gór. O godzinie dziewiętnastej

ukazały się nad Walimiem dwie maszyny typu

Liberator,

bez

jakichkolwiek

znaków

rozpoz-

nawczych. Maszyny nie bombardowały ani nie

strzelały. O godzinie dziewiętnastej dwadzieścia pięć

te same maszyny ukazały się nad Walbrzychem, skąd

je przepędzono.

– Co sądzi pan o tym, hauptsturmführer?

– Niepokoją mnie, standartenführer, dwie rzeczy...

– Słucham...

– Nie zdarza się, aby maszyny alianckie poz-

bawione były znaków rozpoznawczych. O takich

rzeczach nie słyszałem jeszcze.

– Myśmy sami również stosowali ten trik...

wówczas, kiedy nam to było potrzebne.

– Wiem o tym, ale alianci tego nie stosują.

Dbają o swoich lotników. Poza tym obie maszyny nie ostrzeliwały się, mimo że mają broń pokładową ciężkiego kalibru...

– I wreszcie ostatnia sprawa, standartenführer – niepokoi mnie to, że maszyny kręciły się nad obiektami, które zaliczane są do najtajniejszych w naszym systemie obrony.

– Co panu powiedzieli w dowództwie lotnictwa?

– Mniej więcej to samo. Dwie uzbrojone maszyny dokonały lotu nad terenem Śląska, dokładnie w okolicach Sowich Gór. Na wezwanie stacji radiowej, nakazującej lądowanie na najbliższym lotnisku, nie odpowiedziały.

– Baterie w Walimiu, Rzecze, Wałbrzychu otworzyły ogień bez skutku. Maszyny odleciały w kierunku na północ... Powiadomiono terenową obronę przeciwlotniczą na przypuszczalnych trasach powrotu maszyn.

– Czyli, mówiąc krótko, my tu nic nie mamy do roboty, przynajmniej w chwili obecnej?

– Tak jest, standartenführer

Lotnisko spowite było mgłą, zimne i niegościnne, maszyny przyjęto jednak. Oczekiwano ich chyba niecierpliwie, ledwie bowiem podkołowały pod budynek, wybiegło z niego kilku mężczyzn, odzianych w futra do kostek.

– I jak?

W przytulnym, ogrzonym pokoiku usiadło za stołem siedmiu mężczyzn. Tylko jeden z nich miał na sobie mundur, pozostali pozbawieni byli wszelkich cech, które by mogły świadczyć o ich przynależności narodowej lub armijnej.

— Za pierwszym razem nie zauważyli nas w ogóle – informował zebranych jeden z pilotów, którzy ukończyli właśnie lot. – Było to o godzinie dziewiętnastej. Zrobiliśmy zdjęcia wzdłuż całego pasa, zgodnie z planem. Zawróciliśmy dla dokonania następnej serii, ale wymacali nas...

– Informacje zgadzają się... Zabudowa systemu prowadzona jest pasem oznaczonym na naszej mapie czerwoną linią... Zauważyliśmy jednak inne jeszcze budowy, nieco w bok od Walimia, w kierunku na Świdnicę.

– Co sądzicie na temat możliwości drugiej części planu?

– Łatwe to nie będzie, ale wydaje się, że można

wykonać. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę.

– Zdjęcia wywołane, taśma bez uszkodzeń. Obiekty

rysują się wyraźnie,, kontury ostre.

– Przekazać sekcji trzeciej.

– Rozkaz!

– Czy strącono te maszyny?

– Nie, urwały ślad.

**– To źle. Maszyny wykonały zdjęcia obiektów lub ich
najbliższej okolicy.**

**– Nie można było temu przeciwdziałać... Ustalono
jednak na pewno to, że maszyny nie leciały w
kierunku na Anglię.**

**– To wcale niedużo. Nie tylko Anglia prowadzi z
nami wojnę.**

Spadochrony nad Sową

– Kiedy będziecie gotowi?

– Za trzy, cztery dni.

**– A więc odlot w piątek lub sobotę. Do tego czasu
nie opuszczacie bazy, nie kontaktujecie się z
rodzinami. Listy możecie wysłać za pośrednictwem
poczty oddziałowej.**

– Tak jest.

– No, to pójdziemy wypić po kieliszku za nasze powodzenie.

Grupa mężczyzn wyszła z gabinetu i skierowała się do baraku, który przypominał duży pagórek ziemi; na jego dachu rosła trawa i wysoki łopian.

*

Dwie maszyny stoją na pasie startowym, mechanicy sprawdzają po raz ostatni silniki i podwozie.

– Sprawdzone, gotowe.

– Dziękuję.

– No, to cóż, będziemy wychodzić, pora na nas.

Przed maszyną zebrała się grupa ludzi. Spośród nich kilku przebranych było w sposób nieco dziwny, jak na warunki bojowego lotu. Mieli na sobie kombinezony, ale na nogach cywilne półbuty, takie same, jakie nabyć można w sklepach mody męskiej w Hamburgu, Paryżu, Rotterdamie.

– Wszystko jasne? Niczego nie zapomnieliście?

–

Nie

zapomnij

o

instrukcji

na

wypadek

przymusowego lądowania. Wiążemy z tą sprawą duże nadzieje. W wypadku udanej akcji będziemy mieli nad nimi absolutną przewagę... Konieczne jest ustalenie, co oni tam chcą robić... Nie zapomnijcie o tym, że nie jesteście sami... Macie kilka punktów oparcia, i to punktów niezawodnych..

Równocześnie zagrały w obydwu maszynach silniki.

Start był krótki. Samoloty zatoczyły krąg nad lądowiskiem i po dwóch minutach stały się punkcikami, słabo widocznymi na horyzoncie.

– Uwaga, kapitanie, kropią do nas.

– Jakoś wcześniej zaczęli.

– Może lepiej się przygotowali tym razem... Co słychać u sąsiada?

– Leci spokojnie.

– Wchodzimy wyżej.

– Tak jest, kapitanie.

– Poprawić. – Tak jest.

– Halo, tu stacja „Brzeg”, stacja „Brzeg”, jak mnie słyszysz?

– Dobry odbiór, dobry odbiór, można nadawać.

– O godzinie czwartej zero osiem przeleciały w kierunku na południowy zachód dwie obce, nie rozpoznane ciężkie maszyny.

Wysłaliśmy

klucz

dyżurny. Dwie nasze maszyny zostały strącone.

Nieprzyjacielskie samoloty idą dalej na kursie dwieście siedemdziesiąt stopni.

– Uwaga, tu stacja „Centrum II”, „Centrum II”...

Przed chwilą przeleciały w kierunku południowym dwie obce maszyny bez znaków rozpoznawczych.

Nasze patrole nie zdążyły na czas otworzyć ognia.

– Uwaga załoga! Uwaga! Za piętnaście minut

wyrzucamy was. Sprawdzić klamry, przygotować się do skoku! Skakać według ustalonej kolejności, nie mieszać, szyku...

Maszyny zeszły niżej, przez pancerne szkła kabiny

można już było odróżnić czarną masę obszarów zalesionych, gdzieś pojawiało się czasem światełko i od razu nikło.

– Pod nami z lewej Wałbrzych.

**Roztaczająca się wokół ciemność przerwana została
snopami reflektorów i smugami mknących pocisków.**

– Zaczyna się, idziemy wyżej!

**– Kapitanie, „Kometa II” melduje: trafili mnie w
kadłub, mam uszkodzony mechanizm lądowania.**

**– Trzymać ustalony kurs, o podwozie będziesz się
martwić później...**

**Maszyny poszły wyżej, ale nie mogły oderwać się
od świetlnych smug – strzelały na zmianę armaty
wzdłuż całej trasy lotu. Jedna bateria po drugiej
częstowała nieproszonych gości lawiną pękających
granatów.**

**– Uwaga ekipy, przygotować się do skoku! Pierwsza
skacze „Kometa I”... Uwaga, otworzyć właz! Ekipie
„Komety I” życzę złamania nóg... Skacz!**

**Trzech ludzi jeden po drugim runęło w ciemność
nocy.**

**Mechanik przymknął właz i przywarł do okna w
dnie kadłuba.**

– Otworzyli.

– W porządku, pryskamy.

**– Uwaga „Kometa II”, „Kometa II”,... Skacz! Z
samolotu oderwała się kolejna trójka skoczków.**

– Halo, halo, „Beata IV”.

– Słucham.

– Ze sturmbannführerem Kleinem, proszę.

– Łączę.

– Melduje się sekcja „S–W III”. Mieliśmy dziś,

nowy nalot. Zidentyfikowano maszyny; są to te

same, które były u nas ostatnio. Tym razem

prawdopodobnie nie fotografowały, ale to nie jest

pewne.

Maszyny

zostały

ostrzelane

nad

Wałbrzychem i skręciły w stronę Sowich Gór.

– Co mówi służba obserwacyjna, bo to, co pan tu

opowiada,

nie

jest

raczej

atrakcją,

obersturmscharführer.

– Służba obserwacyjna Luftwaffe podaje: jedna z

maszyn została prawdopodobnie uszkodzona przez

naszą

artylerię.

Maszyny,

przelatując

nad

miejscowościami

położonymi

w

odległości

dwudziestu kilometrów od pasa budowy, wyraźnie

zniżyły lot i wykonały po dwa okrążenia. W

miejscowościach tych nie ma żadnych umocnień ani

obiektów wojskowych. i – Piloci albo zmylili trasę,

albo też doskonale się w niej orientowali. W tym

drugim wypadku może wchodzić w grę próba

zrzucenia skoczków.

– Powinien pan od tego zacząć – przerwał

sturmbannführer. – Miejmy nadzieję, że Luftwaffe

poprzestanie na meldunku swoich obserwatorów i

umyje ręce od całej reszty.

– Tak jest.

– Czyli, mówiąc krótko, cała robota z ustaleniem,

czy zrucano skoczków, spada na nas?

– Tak jest.

Na czwartym drzewie

W Głuszycy przystąpiono do budowy nieco później niż w Sierpnicy, ale za to wcześniej uzyskano rezultaty.. Odcinek pracy był zresztą mniejszy, co pozwalało skoncentrować wysiłki w jednym, określonym kierunku.

W żadnej może filii Sowich Gór nie pracowano z takim pośpiechem jak tu. Jeszcze nie ukończono hal montażowych, nie zdążono wykończyć należycie laboratorium, a już na olbrzymich lorach zaczęto sprowadzać części samolotów, silniki, podwozia, koła, duże ilości blachy aluminiowej.

W Głuszycy pracowali prócz więźniów również ludzie wolni. Obowiązywała tu dwojaka dyscyplina, dwojake normy pracy, wyżywienia i traktowania.

Dzięki jednak kontaktom z ludźmi, którzy codziennie wychodzili poza druty obozowe i codziennie mieli łączność ze światem, więźniowie dowiadywali się o niektórych wydarzeniach na zewnątrz.

Służba bezpieczeństwa – SD – starała się ograniczyć –do

minimum

kontakty

między

więźniami

i

personalem z zewnątrz, ale nie było to takie łatwe. W

laboratoriach pracowali obok siebie inżynierowie

spoza obozu oraz inżynierowie i laboranci spośród

więźniów. W montażowni cały niemal personel

techniczny składał się z więźniów i tylko funkcje

nadzoru spełniali Niemcy.

Odcinek Głuszycy różnił się od innych odcinków

systemu Wielkiej Sowy – mimo pośpiechu praca była

tu mniej wyczerpująca, rzadziej bito więźniów i

lepiej odżywiano niż gdzie indziej.

Mimo to i stąd każdego niemal dnia wywozi się

zmarłych, którzy nie wytrzymują tempa pracy.

Mniej widać tu funkcjonariuszy SD niż na po-

zostałych odcinkach, więcej jest oficerów i pod-

oficerów w mundurach Luftwaffe. Nikt jednak

spośród więźniów nie ma wątpliwości co do tego, że

prawdziwymi panami w Wüstegisdorf są SS i SD.

W kilkunastu miejscach na terenie gór ekipy

robocze wiercą głębokie, pionowe sztolnie. Dwie z nich wydrążono w Sierpnicy, pozostałe w innych miejscowościach.

Kierownicy odcinków dbają tylko o jedno – o szybkie wykonanie zadania. Los więźniów absolutnie ich nie obchodzi. Nie zapewniono grupom roboczym warunków bezpieczeństwa, co powoduje częste wypadki.

W sztolni w Sierpnicy jednego tylko dnia odpadło od ściany na wysokości czterdziestu metrów trzech ludzi. Liny, na których byli uwieszeni, nie wytrzymały; spadając z góry, więzień – Serb pociągnął za sobą dwóch kolegów, którzy – uwieszeni na prowizorycznej półce – wygładzali ściany studni.

Pozostałe sztolnie stały się również grobem dla wielu wycieńczonych, głodnych więźniów, niezdolnych do utrzymania równowagi na wielkiej wysokości.

Sztolnie są głębokie na czterdzieści, do sześćdziesięciu metrów. Na samym dole łączą się z poziomymi zbudowanymi korytarzami, jedne korytarze są wąskie, inne szerokie, w jednych znajdują się udeptane chodniki, w innych szyny wąskotorowej kolejki.

Wygląda na to, że sztolnie służyć mają jako szyby wyciągowe; może to również być system wentylacyjny,

oddzielny dla poszczególnych kompleksów podziemnej

budowy.

– Nie szczekaj, Bobi, tu nie ma obcych. Ani obcych ludzi, ani psów. A ty hałasujesz, jakby się świat kończył.

O, usiądziemy tu, ja zapalę fajeczkę, a ty, Bobi, pospacerujesz sobie...

Pies, jakby zrozumiał mowę swego pana, uspokoił się i powędrował w stronę wielkiego głazu na końcu alejki.

Lasek był gęsty, z pięknym poszyciem.

Mężczyzna wydobyl fajeczkę, powoli nabił tytoniem, zapalił. Następnie wyjął z kieszeni kolorowy numer czasopisma

„Wehrmacht”,

sławiącego

sukcesy

niemieckich wojsk na wszystkich frontach, i zagłębił się

w lekturze. Piesek tymczasem kręcił się w pobliżu,

obszczekiwał drzewa, krzaki, ptactwo.

Po upływie dłuższego czasu – może godziny, może pół

– mężczyzna zawołał na swego czworonożnego

przyjaciela, następnie uwiązał go na smyczy, a smycz

owinał sobie wokół ręki.

– Teraz posiedzimy sobie tu, ale nie zapominaj,

piesku, że masz być grzeczny i nie wolno ci na

kogokolwiek szczekać.

Cisza była w tym miejscu, nikt nie zakłócał spokoju

człowieka i psa. Dochodziła godzina piętnasta. Widać

pora nie była na spacer, a poza tym mało kto w Rzeszy

mógł sobie w roku 1944 pozwolić na spacer. Czasy były

trudne.

W pewnej chwili z bocznej alejki wyszedł szczupły

mężczyzna, średniego wzrostu, z drewnianym domkiem

na ptaszki w ręku.

– Spadł pewnie z drzewa – odezwał się pierwszy

mężczyzna z fajeczką.

– Nie spadł, niosę go z domu, żeby przybić gdzieś tu w

pobliżu.

– A na którym drzewie?

– Może na czwartym, poczynając od tego, przy którym

pan siedzi.

– Zanim pan przybije, proszę chwilę spocząć.

– Hubert?

– Hubert bez fajki.

– Jakże się cieszę, nie mieliśmy pewności co do tego,

czy uda nam się skontaktować zgodnie z ustalonym

planem. Czy będzie pan mógł nas przyjąć i ukryć gdzieś?

To dla nas obecnie najważniejsza rzecz...

– Dziś wieczorem podjadę tu furmanką. Bądźcie obok, przykryjemy was słomą, zostaniecie przewiezieni do miejsca wyczekiwania.

– Dziękuję w moim i moich kolegów imieniu.

– Co z pozostałą trójką?

– Łądowanie udało się, są już prawdopodobnie bezpieczni.

– A więc do zobaczenia i nie wychodźcie z ukrycia.

Będę między dziewiętnastą a dziewiętnastą trzydzieści.

*

Ponad godzinę trwała jazda na furmance, pod słomą.

Kiedy wóz zatrzymał się, Hubert wszedł na podwórko i zapukał trzykrotnie w okno.

– Kto tam?

– Richard. Otwieraj szybciej.

– A, to ty jesteś, Richard. Gdzie ich masz?

— Wszystko gotowe?

– Oczywiście, możemy zaraz przejść na miejsce, ale może zjedliby coś?

– Czasu mamy niewiele, ale zakąska przyda się.

Podła pogoda.

Jeden po drugim przemykali mężczyźni do

mieszkania. Gospodarz zdjął z wozu kilka ciężkich paczek, które przeniósł do izby.

– Tylko ostrożnie, Karl, nie stawiaj sztorcem.

– Dobrze, dobrze, wiem.

Krótko,

serdeczna

rozmowa,

poczęstunek

kawałkiem gorącej kielbasy, po kieliszku wódki – i

już dalej w drogę.

Po dziesięciu minutach byli na miejscu.

– Budynek jest opuszczony i nie odwiedzany.

Właściciele siedzą w obozie, zdaje się, że w

Oranienburgu.

Mężczyzna otworzył przyniesionym kluczem drzwi

od werandy i przez sionkę wprowadził gości do

kuchni. Po otwarciu kłapy wszyscy zeszli do piwnicy.

W prawym jej rogu stały sterty skrzyń, między nimi

urządzone było legowisko dla trzech mężczyzn.

– Z piwnicy można się wydostać przez klapę do

kuchni albo przez okienko do ogródka. Krata w

okienku jest przepiłowana, tak że ledwo się trzyma.

Wystarczy pchnąć, a wyleci. Tu macie zapas żywności

na tydzień. Musi to wam starczyć, więc podzielcie te

puszki na porcje. Chleb leży w górnej skrzyni, woda

w bańkach na mleko. Tu macie kocher i zapas

denaturatu. Pod żadnym pozorem nie wolno wam
opuszczać piwnicy. Mówić należy tylko szeptem... O

kilometr

stąd

znajduje

się

stanowisko

baterii

przeciwlotniczej, o półtora kilometra posterunek

policji...

Księstwo SS

Dwie niewielkie lokomotywy spalinowe ciągną długi

wąż

wagoników

wypełnionych

ziemią

koloru

rdzawego.

W budkach kolejarskich siedzi po dwóch kon-

wojentów, uzbrojonych w karabiny. Na przedzie, tuż

za pierwszą lokomotywą, dwaj konwojenci popijają z

butelek mleko.

– Jak myślisz, Hans, po jaką cholere pilnujemy tej

ziemi i po co ją ciągniemy tyle kilometrów?

– Diabli wiedzą, może nasi chcą założyć jakieś

wielkie gospodarstwo warzywne?

– Nie wyglupiaj się... Po co dawaliby nam gumową

odzież

ochronną

i

urządzali

te

szopki

z

cotygodniowym badaniem lekarskim...

– Na pewno w tym coś jest, ale co mnie to

obchodzi? Dla mnie ważne, że odkąd włączyli nas do

konwojowania tej ziemi, mamy dwa razy więcej

wolnego,

dostaliśmy

dodatkowe

porcje

mleka,

papierosów, jajek, no i te parę marek zawsze się

przyda.

– Niby tak,– ale darmo niczego u nas nie dają.

– Nie marudź, jutro mamy wolną sobotę, idziemy

do Fischerów.

**Rozmowa potoczyła się na temat dwóch córek
starego Fischera. Prawdopodobnie nie odbiegała ona
od rozmów prowadzonych na temat dziewcząt przez
żołnierzy
wszystkich
narodowości
na
obydwu
półkulach.**

**– Gruppenführer, melduję, że mamy już ro-
zeznanie w sytuacji. Maszyny nieprzyjaciela zrzuciły
w
okolicy
pasa
budowy
grupę
skoczków
spadochronowych.**

Zrzutu

dokonano

prawdopo-

**dobnie z dwóch maszyn, w niewielkiej od siebie
odległości. Psy zaprowadziły na miejsce, gdzieś**

zakopano

niedokładnie

spalone

kombinezony.

Znaleźliśmy też trzy spadochrony. Niestety, nasi eksperci nie są w stanie, przynajmniej dotychczas, ustalić ich pochodzenia. Wyklucza się jedynie produkcję amerykańską. Spadochrony wykonano w Europie.

– Przyzna pan, że to niewiele.

– Tak jest. Resztki kombinezonów i spadochronów zostaną dokładnie zbadane w naszym laboratorium.

– Czy to wszystko?

– Tak jest.

– Proszę zapisać polecenia.

Przed wojną w dworku kamiennym panował spokój, czasem przyjeżdżali goście z Wrocławia, Wałbrzycha, niekiedy z samego Berlina. Odbywały się tu raczej skromne przyjęcia, polowania, wycieczki. Przede wszystkim jednak korzystali z hotelu – restauracji turyści i urlopowicze. Przyjeżdżały tu wycieczki szkolne, grupy Hitlerjugend i Bund Deutsche Madel. Od czasu kiedy Sowie Góry stały się terenem budowy, wiele się tu zmieniło.

Wszystkie lokale przeznaczone zostały na kasyno dla SS. Mieszczą się tu jednocześnie dom publiczny i restauracja dla oficerów i podoficerów formacji trupich główek.

Cywilna ludność nie ma tu dostępu. Przed budynkiem mogą się jedynie zatrzymywać wozy konne z zaopatrzeniem. Po wyładowaniu towaru furman obowiązany jest natychmiast odjechać. Nawet służba obsługująca dom składa się z esesmanów.

Komendant kasyna, tęgi standartenjunker SS, był podobno przed wojną kelnerem i znanym w Hamburgu zabijaką. Ludność miejscowa boi się go panicznie. Rudolf – bo takie jest jego imię – dwukrotnie dokonał gwałtu w pobliskiej wsi. O wyczynach dziobatego kelnera wiedziało dowództwo, ale ani włos z głowy mu nie spadł.

Ci, którzy mieszkali w najbliższej okolicy, opowiadali, że Rudolf jest nietykalny; miejscowa placówka SD ma o nim bardzo dobrą opinię i choćby Rudolf nie wiadomo co zrobił, nie można go ruszyć.

Ruch w kasynie trwa dniami i nocami, ale szczególnie wesoło bywa w soboty i niedziele. Nocami zza zaciemnionych szczelnie okien kasyna dochodzą wrzaski i krzyki pijanych mężczyzn i kobiet.

**Mieszkańcy okolicznych wsi przyspieszają kroku,
kiedy wypada im tędy droga. Co prawda Rudolf
zastrzelił
w
pobliżu
kasyna
tylko
kilku**

**cudzoziemskich robotników, ale czy można mieć
pewność, że po pijanemu nie zastrzeli także Niemca?**

**– W Sowich Górach esesmani mają wszystko, czego
sobie tylko mogą życzyć. W Jugowicach są łaźnie,
magazyny z żywnością, wódką, piwem. Zamiast być na
froncie, wojują tu na miejscu, zamiast strzelać do
żołnierzy
wroga,
zabijają
jeńców
i
więźniów
cywilnych, dopuszczają się gwałtów na okolicznej
ludności.**

**– Sowie Góry to już nie Śląsk, to już księstwo SS –
mówili starzy ludzie, wychowani w szacunku dla**

prawa.

Niebezpieczni goście

– Przypominam, że nie należy do nas niszczenie obiektów, a jedynie dokładne ich rozeznanie.

Działamy według planu, który każdemu z was jest znany.

Jutro

Richard

przyniesie

odpowiednie

dokumenty i odzież, materiał do sporządzania

szkiców i pieniądze. Wszyscy znają swoje role, więc nie będę ich powtarzał. Każdego dnia meldujecie się na punkcie. Przypominam o obowiązku zachowania jak największej czujności.

Każdego z następnych dni z zabudowania stojącego samotnie na końcu osady wychodzili umundurowani ludzie – czasem esesman w stopniu oficera ze wstążką Żelaznego Krzyża w klapie, innym razem jakiś funkcjonariusz OT, oficer Wehrmachtu czy Luftwaffe.

Najczęściej jeździli rowerami. Bywało jednak i tak, że korzystali z wojskowego motocykla. Trasa ich przejazdu wiodła zawsze w kierunku na Jugowice,

Walim, Sierpnicę i Wałbrzych.

Legitymowani

przez

patrole,

zatrzymujące

wszystkich, nawet pasażerów generalskich wozów,

okazywali dokumenty, które wzbudzały szacunek.

Ich właściciele wchodzili i wjeżdżali na teren strefy

chronionej, wizytowali place poszczególnych budów,

stale spiesząc się, stale w ruchu.

Funkcjonariusz OT wszedł dwukrotnie do tunelu w

Jugowicach

i

dwukrotnie

odwiedził

w

celu

„inspekcji” urządzenia w Sierpnicy. Na odcinku

Sierpnicy znali go już pełniący tu służbę esesmani,

salutowali i przyjmowali od niego papierosy.

– Zapalę potem, sam pan wie, jak to u nas jest.

Jeszcze mi przepustkę cofną. Lepiej nie ryzykować.

Lotnik dostał się na dach betonowej budowy, w

Sierpnicy i nie zauważony przez nikogo wykonał przy

pomocy mikroskopijnego aparat serię zdjęć.

Najlepiej jednak powiodło się oficerowi SS. Ten przespacerował się przez całą okolicę Jugowic, pięciokrotnie zmieniał taśmę w aparacie; wielkości pudełka zapalek, a następnie został podwieziony przez motocyklistę tejże samej co i on formacji w pobliże samotnie stojącego domu.

W ciągu dwóch tygodni trzech mężczyźni zebrali pokaźny materiał; można z tego było sporządzić niemal album okolicznościowy Sowich Gór.

– Trzeba zająć się przekazaniem tego dobytku do centrali. Myślę, że nasi przyjaciele nie będą w stanie sami tego zrobić. Musimy im w tym pomóc.

– Mamy jeszcze na tydzień roboty, a potem trzeba będzie zwinąć interes i pomyśleć o powrocie.

Niepokoi mnie milczenie „Komety I”, ale Richard twierdzi, że nie otrzymał żadnej wieści na temat wpadki. W takim razie żyją i dotarli do celu. Nie możemy się z nimi kontaktować, ponieważ teren, na którym lądowali, jest wyjątkowo mocno nadziany policją mundurową i agentami.

Ciemną noc przerywa tu i ówdzie ujadanie j psów, których nic zmęczyć nie może. Tu, w górach, nocami

zimno do kości przenikało. Cicho jest, tak cicho, jakby na wiele kilometrów wokół nie istniało życie, a tylko głusza leśna.

Wzrok nie sięga dalej niż na dwa – trzy kroki.

Idący w patrolu mężczyźni przyświecają sobie pod nogi latarkami, wyposażonymi w szkiełka koloru fioletowego. – Spokojnie dziś, choć to sobota.

– A co byś chciał, żeby po nocach fajerwerki urządzano?

– Niekoniecznie fajerwerki, sturmscharführer, ale przydałaby się od czasu do czasu jakaś porządna potańcówka, bo zapomnę zupełnie, że coś takiego istnieje na świecie. Poczekamy chyba jeszcze sporo czasu na te potańcówki. Pst, ktoś chyba idzie...

Mężczyźni przywarli do ziemi i skierowali przed siebie broń.

– Stój! Kto idzie? – zawołał niezbyt głośno dowódca patrolu. Odpowiedzią była cisza.

– Stój! Kto idzie? Będę strzelać! – zawołał jeszcze raz i w tej samej chwili o kilkanaście metrów przed patrolem trzasnęły gałęzie i rozległ się tupot ciężkich buciorów.

Ciszę nocy rozerwały serie z pistoletu maszynowego. Żołnierze patrolu skoczyli przed siebie, w

stronę skąd dobiegł przed chwilą trzask gałęzi.

– Sturmscharführer, niech pan przyjdzie, tu leży człowiek!

Cała czwórka pochyliła się na rannym mężczyzną, który charczał i kurczowo wczepił się palcami w trawę.

– Do diabła, toż to Herman, ten od gajowego z Sierpnicy... Ależ mu się dostało... Co zrobimy z nim teraz?

– Hm, diabli nadali z tym gówniarzem. Schlał się, cholernik, jedzie od niego gorzałą. Chyba już nie żyje. Sprawdź, Arnold, może się myłę.

– Nie żyje, sturmscharführer.

– Przykryjcie go gałęziami, jutro nad ranem zabierze się ciało i wyda rodzinie... Trudno... Zarządzenie znał, nie wolno o tej porze przechodzić obok obiektów, a poza tym nie odpowiedział na dwukrotne wezwanie. Nie on pierwszy zresztą i nie ostatni.

– Po skończonej służbie zameldujesz oficerowi SD o wypadku. Powiedz mu, że protokół oddamy około południa.

– Jawohl.

Czterech mężczyzn ruszyło dalej. Broń trzymali

gotową do strzału. Na każdy szelest przystawali, wpatrując się w ciemność. Uszli niecały kilometr, kiedy ich z kolei zatrzymał okrzyk Halt!

Okazało się, że dowódca najbliższego posterunku, zaalarmowany strzałami, urządził na rozstaju dróg zasadzkę. Po wymienieniu hasła obie grupy zbliżyły się do siebie.

– Kogoście tam ustrzelili?

– Tym razem pijaka, untersturmführer, i to w dodatku z Hitlerjugend. Łaził po nocy, na wezwanie nie odpowiedział, nie wiedzieliśmy, kto to jest.

Zresztą, w taką noc można się samemu łatwo rozbić o drzewo...

– Nie ma potrzeby tłumaczyć się, obowiązuje zakaz pętania się w pobliżu obiektów... Wszystko jedno, swój czy obcy. Na tym terenie każdy prócz nas jest obcy.

*

Takiego urodzaju na mundury jak obecnie nie było w Sowich Górach od czasu pierwszej wojny Światowej. Przeważały mundury SS i żandarmerii wojskowej, ale było ich znacznie więcej. Do akcji poszukiwawczej włączono wszystkich wolnych od służby

funkcjonariuszy

OT,

wermachtowców,

żołnierzy Luftwaffe i grupy chłopców z Hitlerjugend.

Nocami

urządzano

zasadzki

na

wszystkich

przejściach, z centrali sprowadzono większą ilość

psów, szef gestapo Müller oddał do dyspozycji

dowodzącego akcją poszukiwań najlepszych agentów.

W Sowich Górach zawrzało jak w potężnym ule. Tak

jak obecnie nie było tu nawet w czasie, kiedy

wizytował te obiekty sam szef SD.

– Chcę wam zakomunikować przykrą wiadomość.

Zostaliśmy sami, nie możemy liczyć na naszych

kolegów. Przedwczoraj rano SD zlokalizowała miejsce

pobytu sekcji, otoczono punkt i wezwano do poddania

się. Nasi koledzy zgodnie z obowiązującym rozkazem

nie usłuchali wezwania. Walka trwała ponad dwie

godziny, cała trójka, zginęła. Niemcy starają się

zidentyfikować pochodzenie sprzętu i przedmiotów.

Oczywiście nie im z tego nie przyjdzie. Nasi zdążyli

zniszczyć w czasie walki wszystko, co należało... –

Kilku ludzi z SS i SD poszło do ziemi.

Cisza zapanowała w pomieszczeniu. Nikt nie

odezwał się słowem. Los kolegów nie wróżył spokoju

żywym, ale nie oznaczał też kapitulacji. Wręcz

przeciwnie – to, co się stało, a co było przecież brane

pod uwagę przed odlotem z macierzystej bazy,

zobowiązywało do wzmożenia wysiłków.

– Musimy stąd zniknąć i przejść na drugą stronę

gór. Tu będą dokładnie szukali.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Poczekajmy na informacje z naszej skrzynki i

wtedy będziemy wiedzieli, jaką obrać trasę. Na razie

siedzimy tu. Obowiązuje absolutna cisza, palić wolno

tylko w ustalonych godzinach, spanie na zmianę.

Ampulka pomaga milczeniu

Świt zaglądał w brudne okno piwniczki, po szybach

splywała rosa. Z głębi lasu dobiegł cichy zrazu, lecz z każdą

chwilą narastający warkot. Na skraju zatrzymały się dwie

terenówki i jeden duży wóz transportowy.

Z wozów wysiedli ludzie w mundurach SS. Cicho, jakby w

obawie, by nie spłoszyć zwierzyny, esesmani ustawiali Ba

żelaznych łapach karabiny maszynowe.

– Gotowe?

– Tak jest, hauptsturmführer.

– Poprowadzi pan swoich ludzi w lewo, przejdziecie przez mostek na strumieniu i podejście pod dom od szczytu.

Przez cały czas akcji nie zdradzajcie swoich stanowisk, wolno wam się ujawnić dopiero wówczas, kiedy przeciwnik będzie usiłował wydostać się. Przypominam jeszcze raz – należy dążyć do tego, żeby przeciwnika wziąć żywcem. Takie jest polecenie Berlina.

– Jawohl...

*

Rozwidniało się na dobre, kiedy drzwi od werandy stanęły otworem i pojawił się w nich mężczyzna. Cofnął się jednak natychmiast w głąb mieszkania i przez kuchnię do piwnicy.

– Słuchajcie, nie ma wiechy na pagórku. Pozostali dwaj błyskawicznie poderwali się na nogi.

– Spokojnie! Przygotować się do ewentualnej walki. Czy jesteś pewny tego, że nie ma wiechy na swoim miejscu?

Może ją wiatr w nocy zdmuchnął?

– Przecież wiecha jest kontrolowana przez całą dobę! Hm, niewesoło. Ogłaszam alarm. Wyciągnij automat, a ty przygotuj cały materiał, szkice, blony, odbitki i cały warsztat laboratoryjny – Obok tego postaw materiał palny. Przypominam porządek: o ile będziemy musieli przebijać się

stąd – niszczyliśmy wszystko.

– Tyle roboty...

– Trudno. Może zresztą nie grozi nam aż tak wielkie niebezpieczeństwo. To tylko ewentualność. Jeżeli nawet znajdzie potrzeba zniszczenia materiałów i przebijania się, każdy z nas, kto dotrze do centrali, opowie dokładnie, co widział, i narysuje z pamięci...

– Uwaga, ktoś idzie!

Za chwilę usłyszeli jakby czyjeś ciche kroki, po czym znów zaległa cisza. Już wydawało im się, że to pomyłka, że zwierzę domowe przeszło obok, gdy nagle usłyszeli tubalny głos:

– Uwaga, uwaga, jesteście otoczeni ze wszystkich stron!

Wyjdźcie z budynku i złóżcie broń obok kurnika... Uwaga, uwaga, nie macie wyjścia, poddajcie się, pójdziecie do obozu jenieckiego!

– Wiemy, jakie to obozy – mruknął do siebie dowódca grupy. – No, chłopcy, zrobiliśmy, co było można, szansę są w tej chwili niewielkie. Od strony pół jesteśmy odcięci, od głównej drogi również, na skraju lasu leży ich pewnie cała kompania.

– A od szczytu?

– Nie są na tyle naiwni, żeby nam zostawić korytarz do spokojnego przejścia. Prawdopodobnie z tej strony obstawili nas najmocniej. Amunicji mamy sporo, nie damy się.

– Halo, halo, wzywamy was do poddania się! Stawianie

oporu jest bezsensowne!

**– To zależy, jak dla kogo – mruknął najmłodszy z trójki,
sprawdzając magazynek automatu.**

**– Opór równa się śmierci... Pójdziecie do obozu
jenieckiego...**

**– Nie pójdziemy, kochasiu, tracisz czas. Zamknijcie mu
gębę...**

**Jeden z mężczyzn uchylił ostrożnie klapę, wysunął się
przez nią i znikł w pokoju. Wkrótce potem ci na dole
usłyszeli serię z pistoletu maszynowego. W tym samym
momencie zamilkł głos z tuby.**

– Wymacał go.

– Teraz się zacznie.

Ogień,

rozpoczęty

z

dwóch

stron

jednocześnie,

prowadzony był tak, jakby napastnicy nie chcieli razić

ukrytych w domu przeciwników. Ostrzeliwano górne części

pomieszczenia – dach, okienka strychove, sprowadzając

kolejno ogień niżej po ścianach.

Serie cięły już okna pokoju; ogień prowadzono regularnie z dwóch karabinów maszynowych, milczały karabiny ręczne i automaty.

– Chcą nam dać szansę.

– Palić rysunki, odbitki, negatywy, niszczyć, aparaty i warsztat.

– Tak jest.

Nagle przzerwano ogień. Zaległa cisza.

– Uwaga, uwaga! Wzywamy was do poddania, gwarantujemy nietykalność osobistą i obóz jeniecki. W przeciwnym wypadku przystąpimy do szturm na dom. Nikt z was nie wyjdzie cały... Macie piętnaście minut czasu do namysłu.

– Przejdziemy na górę. Będziemy tłuc, póki się da.

Przypominam: nie wybrano nas do tej akcji, zgłosiliśmy się ochotniczo. Obowiązują ściśle zasady, których nie wolno nam omijać. Nie ma mowy o jakimkolwiek obozie jenieckim. Będą nas torturować, żeby wymusić zeznania. Dopóki będzie nas na to stać, walczymy. Potem... Każdy ma przy sobie swoją porcję i wie, co należy zrobić. Osobiście wolę skończyć karierę od kuli, ale w sumie nie ma to żadnego znaczenia.

Przeciwnik pierwszy przerwał milczenie. Na dom posypał się grad pocisków. Były wśród nich także zapalające.

Wkrótce drewniane belki stropu zaczęły lizać pierwsze

języki ognia.

Przywarłszy do podłogi, trzech mężczyźni trwali z bronią gotową do strzału. Przez szpary w ścianie widzieli przeciwnika. Czekali, aż podejście bliżej. Wtedy huknęli jednocześnie z trzech luf. Rozległ się rozdzierający krzyk. Kilku ludzi w mundurach koloru feldgrau upadło na ziemię, aby więcej nie wstać.

– Jeden zero dla nas. Uwaga! Podchodzą do werandy! Idź no tam i dosyp im!

Za chwilę z werandy doszła regularna palba. Dom zmienił się w fortecę bijącą na trzy strony.

W pewnym momencie rozległ się ogłuszający huk. Na głowy osaczonych posypał się gruz, kawałki drzewa, trociny.

– Granaty.

– Podciągnij tu kaem. Uspokoimy tego z granatnikiem.

Nieubłaganie zbliżał się jednak koniec. Kolejne granaty zniszczyły cały budynek. Broniący się walczyli teraz spoza pagórków z gruzu, desek, trocin, rozbitych mebli.

– Przerwij ogień!

Stanowiska wewnątrz zniszczonego budynku zamilkły.

Cisza zapanowała również po przeciwnej stronie. W kilka minut później Niemcy otworzyli znów ogień, ale dom milczał.

W stronę rozbitego budynku zaczęli się czołgać ludzie w

zielonych mundurach. Co kilka metrów zatrzymywali się, po czym znów pelzali w stronę ruin, nie dających żadnego znaku życia.

Kiedy pierwszy szereg pelzających znalazł się w odległości może dziesięciu metrów, milczące szczątki budynku znowu ożyły.

– Ognia!

Z pierwszego szeregu zielonych mundurów nikt się nie ruszył, tak dokładnie omiół go ręczny karabin maszynowy i dwa automaty. Dostało się również niektórym z tych, którzy leżeli dalej. Oblegający postanowili zakończyć walkę jak najszybciej – nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że osaczony przeciwnik nie zamierza się poddać. Zarzucono ruiny znowu morderczym ogniem.

– Wycofujemy się do piwnicy, tam jest amunicja i woda.

W momencie kiedy dowódca sekcji zamykał za sobą klapę, tuż obok uderzył ciężki granat. Ciało stoczyło się po drabinie i znieruchomiało

– Sprawdź, czy można coś jeszcze dla niego zrobić.

– Nie żyje.

– Zabierz kaem i podciągnij go tu.

– Po co?

– Jak to po co? Amunicja jeszcze jest....

– Hauptsturmführer, tam już chyba nikt nie żyje.
– Lepiej nie ryzykować. Uziemili nam czternastu ludzi. To hołota! Ech, żeby tak dorwać choć jednego...

– Jeżeli można zauważyć, hauptsturmführer, myślę, że nie dostaniemy ich żywcem.

– Uwaga, kończyć tę zabawę! Są w piwnicy. Dwóch strzelców zajmie stanowiska naprzeciw i strzeli do środka kilka granatów. Szybciej!

Jednocześnie dwa granaty wpadły przez okienko piwniczne. W miejscu, gdzie trafiły w mur przeciwległej ściany, powstał wyłom. Zrobiło się istne piekło. Żelazo i kamienie, gruz i gęsta chmura pyłu tamującego oddech.

– Jesteś?

Następne granaty zniszczyły zupełnie , sufit piwnicy; jej strop opadał w dół.

– Żyjesz?

– Dostałem – padła cicha odpowiedź, której towarzyszył jęk bólu. – To już chyba koniec. Papiery i całą resztę spaliłem... Pamiętaj, nie wolno żywcem... masz ampulkę...

– Słyszałem cię. Nie martw się o mnie, nie dam się wziąć żywy. Czy mogę ci pomóc? Jedyłą odpowiedzią było milczenie.

– Dlaczego milczysz? Pytam, czy mogę ci pomóc?

– Poddajcie się, bo wybijemy was jak szczury! Poddajcie

się! – rozległo się na zewnątrz.

**– Niestety, gruppenführer, z tej trójki nie mieliśmy
pożytku. Kamień po kamieniu, uprzątnęliśmy gruzy.**

**Znaleźliśmy ślady spalenia dokumentów, negatywu, rozlane
kwasy, których próbki przekazaliśmy do analizy.**

**– Jeden zginął od naszego granatu, drugi został ranny i
dobił się z pistoletu, trzeci połknął truciznę.**

– A broń?

**– Cała broń znaleziona przy nich jest naszej produkcji,
amunicja również. Ubrani byli w niemieckie mundury, buty,
bieliznę. Poza tym nie znaleziono przy nich niczego, co by
mogło naprowadzić na ślad.**

**– Czyli, że nic o nich nie wiemy, poza tym, że ich system
zdobywania informacji był bezczelny i genialny. I że gdyby
nie głupi przypadek, nie udałoby się nam wpaść na ich trop.**

Tak, czy nie?

**– Inaczej mówiąc, należałoby nas wszystkich ogolić,
zerwać mundury i odesłać do Oranienburga albo Stutthofu.**

Zgadza się?

...

– Pytałem pana, czy zgadza się?

– Tak jest, gruppenführer.

Może i inni próbują?

Z wagoników ciągniętych przez małe spalinowe

lokomotywy więźniowie zwalają olbrzymie ilości ziemi o

kolorze rdzawym. Ludzie wyglądają, jakby byli po ciężkiej

chorobie – twarze pociągłe, wystające kości policzkowe,

pożółkła cera.

Niektórzy pracują z widocznym trudem, inni starają się

nabierać jak najmniej, na sam koniec łopaty. Obok

lokomotywy leży na ziemi dwóch ludzi w pasiakach, jeden z

nich ma twarz zasłoniętą więzienną mycką.

– Ile tego może dzisiaj być, jak myślisz?

– Diabli ich, wiedzą, ale skoro wysłali transport, to

pewnie tak jak zawsze... ze trzy tury.

– Cały dzień i cała noc roboty.

– Andrzej, zauważyłeś, że wszyscy konwojenci,

transportu noszą gumowe buty i rękawice?.

– Tak, to ciekawe. Możliwe, że wagony przejeżdżają obok

jakichś miejscowości, gdzie panuje zaraza, ale może to być

też inna sprawa.

– A nie przyszło ci na myśl, że oni chronią siebie samych

przed tą rudą, którą przywożą do nas?

– Hm, może i racja...

– Widzisz przecież, zatrudnieni przy zsypywaniu i

transportie wykańczają się o wiele szybciej nawet od tych,

którzy mają pracę cięższą, ale w innym miejscu.

– **Może to i prawda.**

– **Uważaj, idzie wachman.**

*

– **General prosi.**

Gabinet szefa urządzony jest tak prosto, jakby mieścił się nie w budynku, lecz we frontowej ziemiance. Jedyne butelki z napojami chłodzącymi, pudełko doskonałych papierosów i elegancki mundur generała świadczą, że daleko jest stąd do linii ziemianek i ognia.

– **Mam do zakomunikowania smutną wiadomość.**

Obydwie sekcje, „Kometa I” i „Kometa II”, zostały zniszczone w walce. Nie udało się, niestety, tym razem osiągnąć celu.

Twarz gościa stężała. Mężczyzna w ciemnym garniturze przymknął oczy, trwało to jednak bardzo krótko. Za chwilę opanował się i spokojnie słuchał swego zwierzchnika.

– **Wiem, że to przykro słuchać, ale proszę mi wierzyć, dla mnie również nie jest przyjemnie o tym mówić. Wydawało się, że zrobiliśmy wszystko, co do nas należy, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.**

– **Myślę – ciągnął po chwili milczenia – że możemy sobie szczerze powiedzieć: maszyny były doskonałe, sprzęt również, ludzie najlepsi z najlepszych. Zawiodło nas coś innego – metoda. Tej roboty nie powinni wykonywać ludzie**

zrzućni na spadochronach. To jest praca na dłuższy czas,

bez

samolotów,

bez

artylerii

przeciwlotniczej,

bez

spadochronów.

– Powinni to robić ludzie przebywający na miejscu bądź przysłani na przykład z terenu Polski czy Czechosłowacji.

Taką grupę można przecież powolutku zaaklimatyzować, dostarczyć broni, sprzętu i w odpowiednim momencie rzucić na obiekt.

– Jedno osiągnęliśmy, mianowicie z pierwszego rajdu mamy dobre zdjęcia. Wiemy przynajmniej, że w określonym miejscu coś się święci. No i druga korzyść, wprawdzie bardzo drogo opłacona: poznaliśmy lepiej metody działania wroga, a zarazem własne słabe punkty.

General wstał z fotela.

– Rodziny poległych otrzymają zaopatrzenie, na razie wstrzymamy się z odznaczeniami. Załatwi się to po wojnie. A teraz głowa do góry, pułkowniku! Jak nie z tej, to z innej strony postaramy się dobrać im do skóry. Niewykluczone zresztą, że nasi sojusznicy, nic nie mówiąc, również starają

się dostać tej sowie do ogona i wypruć trochę piór.

– Kto wie, może nawet próbują podobną metodą co i my?

– powiedział generał po chwili już do siebie samego.

*

Cysterny zatrzymują się jedna za drugą w hali rozjazdowej. Zawarty w nich ciekły cement wlewany jest do wielkich nosilek, a następnie przenoszony przez ludzi odzianych w pasiaki do lewej bocznej hali.

Rośnie z dnia na dzień olbrzymia komora. Między jedną pionową warstwą cementowej ściany a drugą kładzione są ścianki z materiału, który przypomina wyglądem metal, ale jest znacznie cięższy od zwykłego żelaza lub stali.

Komora ma około czterech metrów wysokości. Znajduje się w niej otwór podobny do żelaznej okiennicy, wyglądający jak oczko obiektywu w kamerze fotograficznej.

Ledwie stwardnieje jedna warstwa cementu, już więźniowie nalewają w drewniane formy następną porcję.

Przez okrągłą dobę trwa praca. Nie opóźniają jej ani ślota, ani zimno, ani upały. Tu, głęboko pod ziemią, czas liczy się według specjalnych norm. Nie ma dla ludzi – robotów ani

dni, ani nocy, nie ma świąt ani odpoczynków. Pojęcie

„człowiek chory” jest nieznane. Mówi się po prostu: więzień

żywy – więzień martwy.

*

– Zdążą zrobić to, co chcą, czy nie zdążą, jak myślisz?

– Myślę, że kto jak kto, ale my nie będziemy mieli okazji się o tym przekonać. Nie doczekamy. Ale prócz nas są inni jeszcze, na zewnątrz, którzy robią wszystko, żeby ci tu nie zdążyli.

— O kim myślisz?

– O wszystkich, którym nie odpowiada Hitler i jego banda. Jeszcze zanim nas tu sprowadzili, Rosjanie dali im porządnego łupnia pod Stalingradem i przegonili jak psów... Nie martw się, Hersz, dożyjemy czy nie, to wcale nie najważniejsze... Wiem na pewno, że zostaniemy pomszczeni... To tylko kwestia czasu.

– Co mi z tego, jak mnie już nie będzie?.

– Uważaj, idzie...

Do murarzy poszedł opasły funkcjonariusz OT i sprawdził zawartość nosilek. – Dlaczego nie nabieracie nowej porcji? Przecież tu nie ma już cementu! Nie chce wam się robić?! – wrzasnął i kopnął nosilki. – Jazda po nową porcję, bo was zatłukę, wy żydowska hołota...

Wokół cementowej komory murarze tynkują ściany zbrojone żelaznymi prętami. Nadzór techniczny sprawdza co kilkanaście minut stan prac i postępy.

– Poszedł?

– Tak, poszedł. Pytałeś, co nam z tego przyjdzie, jeśli sami

nie doczekamy klęski tych morderców? Rzeczywiście niewiele. Cóż, nie tylko my tu jesteśmy. Ten sam los dzielą wszyscy więźniowie. Codziennie morduje się Rosjan, Francuzów, Polaków, a nawet jeńców włoskich, którzy do niedawna byli sojusznikami Hitlera. Tu nie ma. lepszych ani gorszych. Jedna dola, jedna śmierć... Hitlerowcy tam, na powierzchni, opowiadają o rasach, że jedna lepsza, a druga gorsza. Tu, na dole, nie mówią już tego. Tu zabijają wszystkie rasy bez różnicy...

Iluz było przeciwników?

To, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku godzin,

zelektryzowało

dyрекcję

budowy

i

całą

służbę

bezpieczeństwa. Popłynęły meldunki do Berlina, na miejsce

przybyła inspekcja. W Sowich Górach zaroilo się od

funkcjonariuszy organów wywiadu i kontrwywiadu.

Daleko jeszcze było do świtu. Cisza panowała na całej

przestrzeni od Jugowic do Sierpnicy i jedynie szczekanie

psów przypominało, że w tych stronach istnieją nie tylko

bunkry betonowe i korytarze podziemne, ale także

zwyczajne ludzkie osady, gospodarstwa i pola uprawne.

W pobliżu głównego tunelu w Sierpnicy esesmani –

ulożeni na grubych plandekach, chroniących od wilgoci –

trzymali broń skierowaną na drogę wiodącą do Jugowic.

Mniej uwagi zwracano na kierunek wiodący na szczyt, gdzie

w ciągu dnia trwała budowa na ściętym stożku góry.

– Sturmscharführer – zwrócił się szeptem do dowódcy

jeden z esesmanów – chcę pójść na chwilę za swoją

potrzebą...

– Tylko zachowaj się cicho i nie pal papierosa.

– Jawohl, Sturmscharführer. Powiało nocnym chłodem i

dowódca mocniej owinął się plandeką.

– Co mu się stało, że tak długo nie wraca? Chyba nie

połknął liny stalowej...

Sturmscharführer nie zdążył dokończyć. Wszystko

nastąpiło nagle jak z bicza trząśł. Cios był dobrze obliczony.

Esesman zwinął się w kłębek i osunął bez jęku na ziemię.

Rozprawa z pozostałymi uczestnikami nocnej zasadzki

była podobna – nie padł ani jeden strzał, nikt nie krzychał

ani nie prosił o litość. Napastnicy posługiwali się wyłącznie

białą bronią, napadnięci nie byli w stanie bronić się. Atak był

zupełnie niespodziewany, zwłaszcza że przyszedł ze strony,

która była doskonale chroniona.

– Gotowe? – zadał ktoś w ciemności pytanie.

– Gotowe, szefie.

– Przypominam jeszcze raz: posługujemy się tylko
językiem niemieckim.

– Tak jest.

– Naprzód!

Na tle nocy słabo rysowały się cienie mężczyzn,
zdarzających w stronę wejścia do tunelu. W ciągu kilku minut
grupa dotarła do celu. Przed nią rysowała się wielka brama z
zawieszonymi na niej tabliczkami, z których na skutek panu-
jących ciemności trudno było cokolwiek odczytać.

Mężczyźni przykucnęli w trawie i wsluchiwali się w ciszę
nocy.

– Trzeba przeciąć druty tu z boku. Bierz się do roboty.

– Tak jest.

Jedna po drugiej znikaly przeszkody. Odstawiono na bok
kozy omotane drutem kolczastym, zdjęto dwie deski, do
których przymocowane były połączone przewodem granaty,
wykręcono żarówki przy wielkiej bramie...

Kontruderzenie przyszło nagle z dwóch stron. Od tej, z
której zjawili się nocni goście, i ze szczytu wzgórza. Z góry –
wystrzelono kilka rakiet, które opadając powoli, oświetliły
cały plac.

Zaskoczeni gęstym, krzyżowym ogniem przybysze zajęli
stanowiska w łopianach i odpowiedzieli natychmiast

strzałami. Trwająca do niedawna cisza zamieniła się w piekło. Ze wszystkich stron trzeszczały krótkimi seriami pistolety maszynowe, były raz po raz ręczne kaemy, eksplodowały z ogłuszającym hukiem rzucając na oślep granaty.

Próba przedarcia się do lasu, skąd przyszli, okazała się niemożliwa. Pierwszy, który próbował pójść tą drogą, padł skoszony seriami broni maszynowej.

– Szefie, zdaje się, że trudno będzie się stąd wydostać – zauważył któryś.

– Ja też tak myślę.

Szybko zacieśniał się teraz krąg nacierających. W pewnym momencie rozwarła się brama tunelu i posypał się z niej grad pocisków.

Już trzech z grupy dywersyjnej leżało nieruchomo na trawie, nie dając znaku życia.

– Uwaga – dowódca grupy zwrócił się szeptem do swoich kolegów – kończy się amunicja, nie ma na co czekać.

Zostaniemy tu do rana, to nas wytluką jak kuropatwy.

Skaczcie do lasu, będę was osłaniał. Dajcie mi magazynki zapasowe tamtych dwóch... Dobrze. I granaty też – dajcie...

Gdyby wam się udało, starajcie się przedrzeć do punktu wyjściowego, a stamtąd do bazy.

– A ty, szefie?

– Mówilem już, będę was osłaniał przy skoku...

Powtórzcie po powrocie, co trzeba, i pozdrówcie ode mnie.

– Szeffie...

– Milczeć i wykonywać rozkazy.

– Tak jest.

Z dwóch pistoletów maszynowych jednocześnie osłaniał dowódcę grupy odwrót swoich kolegów. Nie na wiele się to jednak zdało. Dopadli wprawdzie lasu, lecz skosiły ich tam serie broni maszynowej. To esesmani, rozłokowani na skraju, by uniemożliwić okrażonemu wyrwanie się.

Dowódcę grupy nie mógł widzieć z tej odległości śmierci swoich kolegów. Próbował odczołgać się nieco w bok, ale każdy ruch, każdy szmer powodował nową strzelaninę.

Tak upłynęła noc. O brzasku esesmani poruszyli się na stanowiskach. Sam niewidoczny – ubrany w obcisły kombinezon, przetkany gałązkami i korą drzew – dopuścił ich na bliską odległość. Wtedy przeciągnął po nich celnymi seriami. Zdążył zmienić magazynek. Dostrzegł, że kilku przeciwników znieruchomiało na trawie.

No, przynajmniej ci już niczego nie działają – przeszło mu przez myśl.

– Uwaga! – rozległo się wołanie z tamtej strony. –

Jesteście otoczeni! Nie macie żadnych szans! Poddajcie się, pójdziecie do niewoli. W przeciwnym wypadku zginiecie tu

na miejscu...

Jeszcze raz próbowali esesmani wziąć szturmem przeciwnika, ale zapłacili za to życiem dwóch kolejnych podoficerów.

Osaczony rozejrzał się wokół. Widział, że nie ma żadnych szans. Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od najbliższej pozycji esesmanów.

Wydobył z zanadrza mały flakonik, położył obok siebie na trawie. Przeliczył granaty. Zostało ich sporo – sześć okrągłych brył śmiercionośnego ładunku.

Odczekał chwilę, nim wyciągnął zawleczkę pierwszego granatu.

Pięć wymachów ramion, błyski ogni po tamtej stronie, detonacje i krzyk trafionych.

W

momencie

kiedy

człowiek

w

maskującym

kombinezonie zamierzał rzucić ostatni granat, dosięgła go

seria karabinu maszynowego. Granat z tkwiącą w nim

zawleczką wypadł z rąk. Ranny próbował jeszcze sięgnąć

ręką po flakonik, w tym samym jednak momencie trafiła go

druga seria.

Dwa dni trwało śledztwo, które prowadzono nie tylko w obrębie budowy i w bezpośrednim jej sąsiedztwie, ale również w wioskach położonych o piętnaście kilometrów od miejsca wypadku.

W wyniku nocnej napaści śmierć poniosło dziesięciu esesmanów, w tym jeden oficer SD. Zniszczeniu uległy przewody dostarczające energię elektryczną do urządzeń w bocznych pomieszczeniach budowy w Sierpnicy. Wyszło przy tym na jaw, że rozszyfrowana została przez przeciwnika trasa dojścia z zewnątrz do obszaru tajnych urządzeń.

Na polu zostało pięciu śmiałków, których absolutnie nie można było zidentyfikować; mogli to być równie dobrze Rosjanie, jak Amerykanie, Polacy czy Niemcy. Broń mieli niemiecką i amerykańską, kombinezony i bieliznę niemieckie, buty angielskie, rękawice nieokreślonej marki i produkcji.

Laboratoryjne badanie zawartości flakonika również nie dało nic konkretnego. Pozwolilo stwierdzić jedynie, że jest to jakaś bardzo silna trucizna, działająca w piorunującym tempie, prawdopodobnie wyciąg z jadu żmii.

Przy zabitych znaleziono w torbach polowych ładunki wybuchowe o potężnej sile niszczenia, lont i małe

mechanizmy, jakich używa się do bomb zegarowych.

**Sekcja zwłok wykazała, że ostatni z grupy dywersyjnej
połknął już w czasie walki jakąś bibulkę. Nie zdołano ustalić,
co bibuła ta zawierała, eksperci zgodni byli jednak co do
tego, że musiał to być plan miejsca, stanowiącego cel akcji.**

**Jednego jeszcze nie zdołano ustalić, i to nie dawało
spokoju ani dyrektorowi budowy, ani dowódcy służby
bezpieczeństwa w „księstwie SS”, ani dygnitarzom w
Berlinie – ilu było przeciwników i czy wszyscy oni polegli w
walce, czy też któremuś udało się zbiec.**

**Inne jeszcze sprawy pozostały dla Niemców nie
rozwiązaną
zagadką.**

Z

którego

kierunku

przyszli

**napastnicy? Czy mieli przewodnika? Jedno było pewne: nie
zrzucano ich z samolotu w pobliżu Sierpnicy, ponieważ nie
znaleziono śladu po spadochronach.**

**Jakkolwiek by nie było, jeden fakt nie ulegał – niestety –
żadnej wątpliwości: o Sowich Górach wiedziano gdzieś i
chciano przeniknąć tajemnicą ich urządzeń!**

Wielka Sowa i stalowe katapulty

Na polecenie Berlina służba bezpieczeństwa nie dopuściła

do

rozpowszechniania

wieści

o

nocnym

napadzie.

Więźniowie,

którzy

pod

nadzorem

SD

naprawiali

zniszczenia i usuwali skutki napadu, zostali wyprowadzeni

do Jugowic i tam rozstrzelani w znajdującym się w lesie

betonowym budynku.

Esesmani

uczestniczący

w

nocnej

walce

zostali

zaprzysiężeni do milczenia, przy czym oficer SD, który od

nich przyjmował przysięgę, nie bawił się w ceregiele: za

powiedzenie jednego chociażby słowa na temat nocnej akcji dywersantów – sąd polowy i śmierć, a rodzina zostanie umieszczona w obozie koncentracyjnym.

Na polecenie RSHA zwiększono strażę przy komandach I-1, I-2, I-3, a w obozie dla jeńców radzieckich przeprowadzono selekcję. Wyprowadzono do jednej z podziemnych hal tych wszystkich, których podejrzewano o możliwość bądź przemylenia wiadomości na zewnątrz, bądź zorganizowania buntu. Wśród jeńców, tych byli i tacy, których podejrzewano o ukrywanie stopni oficerskich.

Wyselekcjonowanych więźniów tracono po pięciu, przy czym w egzekucji brał udział cały pluton SS, dwaj oficerowie SD i cywil z Berlina. Ciała rozstrzelanych zakopano w lesie.

W kilka dni potem przybył do Jugowic duży transport min. Rozwiezione stąd ładunek do Walimia, Kolc, Głuszycy, Sierpnicy. Przy minowaniu zatrudniono saperów z Waffen SS, którzy po zakończeniu prac wrócili do swoich macierzystych jednostek.

W ciągu tygodnia od daty zakończenia śledztwa w sprawie nocnego napadu cała służba ochrony zewnętrznej i wewnętrznej została dodatkowo wyposażona w broń maszynową, w tym również w nowy model pistoletu maszynowego MP-43.

Na czas nieograniczony wstrzymano urlopy i przepustki,

szluzbie ochrony SS i funkcjonariuszom OT zapowiedziano, ze odtad kazde, nawet najmniejsze przewinienie, bedzie rozpatrywane przez sad polowy SS.

W sekcji kontroli listow zatrudniono dodatkowo jeszcze jednego pracownika. W karcie skierowania, ktora zlozyl on szefowi bezpieczenstwa w Eulen Gebiet, widnial napis:

Oddzial szyfrow OKW – deleguje sie na czas nieograniczony.

Jeszcze tego samego dnia specjalista od szyfrow otrzymal swego aniola strzaza, ktory mial informowac kierownictwo SD o zachowaniu sie nowego pracownika, o jego kontaktach na budowie i na zewnatrz, o wypowiedziach i zwyczajach.

– Herr Direktor, wzywal mnie pan?

– Tak, wzywalem pana. Chcialem panu zwrócic uwage na to, ze moje polecenie w sprawie izolacji przewozonej rudy nie jest nalezycie respektowane.

– Alez panie dyrektorze, zrobilismy wszystko, co bylo w naszej mocy...

– Ale nie wszystko to, co nalezalo zrobic. Jedyne konwojenci i maszynisci maja odziez ochronna, natomiast skladnice

są

nadal

kiepsko

izolowane.

Na

razie

przestaniemy sprowadzać rudę, nie możemy jeszcze

wykorzystać i tej, którą już mamy. Proszę się porozumieć z

moim zastępcą technicznym, panem Wurclem. On panu

wskaże, co należy zrobić dla należytego zabezpieczenia

zmagazynowanej rudy.

– Tak jest, panie dyrektorze. Natychmiast to zrobię. Chcę

jeszcze powiedzieć, że wśród więźniów obsługujących

wagoniki zauważono jakby jakiś niepokój. Być może, wiedzą

już...

– Chyba tym nie potrzebuję zaprzętać sobie głowy? Od

czego postawiliśmy szubienicę?

– Jawohl, Herr Direktor.

Nietrudno się zorientować w tym, że nie gospodarze –

oficerowie sztabowi, generalicja, admirałowie – są tu

najważniejsi, lecz cywile, a zwłaszcza jeden cywil.

Dla niego zarezerwowane zostało honorowe miejsce przy

stole konferencyjnym, przed nim zginają się generalowie,

stoją na baczność adiutanci.

Tematem narady jest sprawa niebagatelna, mogąca

wywrzeć – zdaniem fachowców – kolosalny wpływ na dalszy

przebieg i ostateczny rezultat wojny. Chęć odwrócenia za wszelką cenę tego, co w świetle ostatnich wydarzeń, głównie na froncie wschodnim, wydaje się nieuchronne, przewija się w wypowiedziach kolejnych mówców:

...Obecna faza wojny zmusza nas do wysiłków i poświęcenia, na jakie nie stać żadnego innego narodu.

...Nie jest to już wojna dwóch armii w polu, jest to wojna dwóch światów... Nie możemy się tu ograniczać do przepisów konwencji, ponieważ grozi nam klęska... Nie możemy się kierować ani prawem, ani jakimikolwiek względami... W obronie naszej ojczyzny i niemieckiego porządku musimy sięgać po wszystkie możliwe środki walki.

...Obecnie, kiedy mamy ku temu pewne warunki, należy uczynić wojnę absolutnie totalną, nie oszczędzać nikogo i niczego na ziemi wroga.

...Naukowcy niemieccy nie szczędzą sił ani zdrowia dla zwiększenia potęgi armii, lotnictwa, marynarki.

...Celem naszego dzisiejszego spotkania jest problem rakiet, a właściwie wyrzutni i miejsca ich rozlokowania.

Konkretnie

idzie

o

to,

że

Dowództwo

Naczelne

**zaproponowało rozmieszczenie sieci wyrzutni na Śląsku, w
Sowich Górach.**

**...Jak panowie wiecie, w Sowich Górach prowadzimy
jednocześnie kilka budów, wszystkie one otoczone są
tajemnicą i doskonale strzeżone. W tych warunkach
sprzeciwiałbym się budowie wyrzutni, które byłyby już
obecnie użyte w akcji... Ważne jest zresztą i to, że z terenu
Sowich Gór nasze rakiety nie osiągną obecnie wroga.**

**...Idea budowy wyrzutni w tym rejonie jest jednak,
słuszna ze względu na sytuację na frontach. Może się
zdarzyć, że przy kurczeniu się frontu przeciwnik znajdzie się
bliżej naszego kraju i w zasięgu rakiet...**

**...Należy się liczyć z tym, że z chwilą gdy nasze próby,
prowadzone w Sowich Górach, powiodą się, będziemy mogli
z tych samych wyrzutni, niewiele tylko udoskonalonych,
razić wroga daleko na tyłach, zniszczyć go zupełnie, spa-
ralizować jego transport, gospodarkę, siły żywe.**

**W trzech miejscach jednocześnie ruszyła w Sowich
Górach budowa wyrzutni. W samych Jugowicach zaczęto
kłaść fundamenty pod dwie wyrzutnie, trzecią umieszczono
nie opodal Sierpnicy.**

W naturalnej niecce, przypominającej basen okolony ze wszystkich stron lasem, więźniowie oczyścili dokładnie kawał ziemi – kwadrat o boku stu trzydziestu metrów.

Następnie zabrali się do dzieła kopacze.

Od świtu do zmroku podzieleni na brygady więźniowie kopali i wywozili ziemię. Kiedy osiągnięto wymaganą głębokość, specjaliści jeszcze raz wymierzili dokładnie obwód, po czym przystąpiono do plantowania dna, które wyłożono następnie kamieniami, bryłami skał i pokruszonego betonu, przywożonego tu z odległości kilkunastu kilometrów.

Na tak utwardzony grunt zaczęto wylewać cement.

W ciągu trzech tygodni we wgłębieniu kotlinki stanął zbrojony stalowymi prętami potężny blok betonowy. W kilku miejscach cementowej podstawy zostawiono głębokie otwory. Tu miały się oprzeć stalowe nogi wyrzutni.

– Niestety, generale, nic nie możemy poradzić.

Dzwonimy, wysyłamy naszych przedstawicieli, na razie to nie pomaga. Nie otrzymaliśmy dotąd najważniejszych części.

Nie ma mowy o montażu. Jeżeli to możliwe, przyspieszcie, panowie, tę sprawę.

– A jaki jest stan prac przygotowawczych?

–

Podstawa

jest

całkowicie

gotowa,

urządzenia

pomocnicze mamy na miejscu, brak nam natomiast

najważniejszych elementów wyrzutni.

– Czy mógłby pan, panie doktorze, określić czas montażu

aparatury namiarowej?

Mężczyzna, do którego zwracał się generał, zamyślił się.

– Jeżeli będę tu miał moją starą ekipę, która pracowała ze

mną w Sarnakach w GG, zrobimy to w trzy miesiące.

– Postaram się, panie doktorze, zrobić w tej sprawie, co

będę mógł. O wyniku powiadomię pana przez specjalnego

wysłannika.

– Będę panu niewymownie zobowiązany, panie generale.

– Heil Hitler!

– Heil!

Montaż wyrzutni trwał bez przerwy dniami i nocami. W

dwa i pół miesiąca od czasu rozmowy doktora z generałem

dwie z nich były gotowe w stanie surowym. Obecnie należało

zwieźć aparaturę i przyrządy, dostarczyć rakiet, zbudować

pomieszczenia pomocnicze, magazyny i pomieszczenia dla

obsługi.

Nastąpiła jednak nieprzewidziana zwłoka. W dniu bowiem, kiedy specjalny wysłannik z Sowich Gór meldował gotowość w stanie surowym dwóch spośród trzech budowanych wyrzutni, rząd węgierski zwrócił się do państw koalicji antyhitlerowskiej z prośbą o zawieszenie broni.

Było to 15 października 1944 roku.

Po tygodniu, 20 października, w kwaterze Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu powiadomiono wysłannika z Sowich Gór o tym, że obydwie wyrzutnie nie będą na razie wykorzystane. Tego samego dnia hitlerowcy, za próbą odstąpienia od wojny, aresztowali i wywieźli do Niemiec rząd Horthy'ego.

Wojska radzieckie przygotowywały się do natarcia na Budapeszt.

Walczący Żółw

Pory roku przemijały, nie przynosząc więźniom Wielkiej Sowy poprawy losu. Umierali milcząco, bez protestu. Ginęli wówczas, kiedy obok panowała piękna wiosna i gdy było lato, padali w słotną jesień i kiedy śnieg kapturem okrywał szczerlnie Wielką Sowę.

Na wszystkich odcinkach trwa nieludzko ciężka praca.

Więźniowie dawno już zrozumieli, że tu, w Sowich Górach, hitlerowcy przygotowują potężną, na skalę dotąd nie

spotykaną, zbrojownię, która ma uratować Rzeszę Hitlera od klęski.

W drugiej połowie 1944 roku do Sowich Gór dotarł z dalekiej Warszawy „Walczący Żółw”. Hasło „Nie spiesz się! Nie pomagaj wrogowi!” znalazło żywy odzew w masie więźniów i jeńców wojennych.

Gdy tylko sytuacja na to pozwala, gdy nadzorujący esesman lub funkcjonariusz OT oddalają się na chwilę, natychmiast ustaje praca. Co pewien czas zdarza się spięcie na linii i na długie godziny nieruchomieje budowa. Raz tylko udało się ochronie z SS ustalić, że awaria nastąpiła z winy więźnia, który odpowiadał za odcinek przewodów. Więzień – elektryk został powieszony przed wejściem do tunelu, w miejscu gdzie co dzień schodziły do podziemi i powracały więźniarskie zmiany robocze.

Nie miało to jednak większego znaczenia – atmosfery, jaka zapanowała wśród więźniów od czasu inwazji aliantów na obszar Francji, nic już nie zdołało zmienić. Coraz częstsze były wypadki, że więzień sprzeciwiał się wachmanowi. Ci, którym nie dane było przetrwać, umierali z przeświadczeniem o zbliżającej się klęsce hitlerowskich Niemiec.

Co pewien czas eksplodowały butle gazowe oraz butle zawierające zielony, gryzący płyn, pozbawiony zapachu.

Kierownictwo budowy szalało, więźniom zastrzano rygor,

szukano sprawców i nie znajdowano ich.

**– Jak pan myśli, dyrektorze, czy nie jest to sprawka
podziemnej organizacji?**

**– Nie, panie generale. Moim zdaniem na naszym terenie
nie
ma takiej
organizacji.**

To

jest

chyba

wynik

**niezorganizowanego oporu więźniów. Nienawidzą nas i
starają się szkodzić budowie.**

– Od kiedy się to zaczęło?

– Wkrótce po inwazji w Normandii.

**– Czy widzi pan, panie dyrektorze, środki, które mogłyby
zapobiec temu, co się u was dzieje?**

Dyrektor zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Przykro mi, Herr General, ale to jest nie możliwe.

Robimy zresztą, co możemy. Kazałem zwiększyć nadzór.

Służba wartownicza i obserwacyjna pracują na dwie zmiany.

Ludzie są zmęczeni i senni. Niewiele to jednak pomaga.

Poszczególne funkcje obsadzone są zresztą przez fachowców

spośród więźniów, a tym przecież nie wierzymy. Staraliśmy się skaptować niektórych spośród nich, ale to bardzo trudna sprawa. Nienawiść do nas silniejsza jest od głodu. Jeśli nawet znajdzie się już taki, który chce z nami współpracować, to pozostali szybko orientują się, w czym rzecz. Bojkotują takiego więźnia, były wypadki samosądu... Więźniowie są konsekwentni, zabijają kolaborantów.

Zdarzyło się już kilkakrotnie, po otwarciu skrzyń zawierających szkło laboratoryjne, że przesyłka nie nadawała się do eksploatacji – wszystko było dokładnie potłuczone.

– Kiedy oni zdążyli to zrobić? – zastanawiano się w dyrekcji budowy.

– A może to w ogóle nie oni? Może w Berlinie, w Hamburgu, w fabrykach pracujących w głębi Niemiec? – zapytywali sami siebie funkcjonariusze SD.

Były to jednak najczęściej domniemania bezpodstawne.

Właśnie tu, w Sowich Górach, nie bacząc na śmiertelne niebezpieczeństwo,

więźniowie

świadomie

opóźniali

budowę giganta. W trybach maszyn znajdowano piasek, z

warsztatów naprawczych, obsługiwanych przez więźniów,
wyjeżdżały wagoniki, które w czasie przewożenia pierwszego
ładunku
ulegały
wypadkom,
powodującym
z
kolei
zniszczenie cennego surowca.

W kilku miejscach zapadły się podziemne chodniki, mimo
że eksperci badający przyczynę wypadków nie stwierdzali
żadnych wad w obudowie lub zabezpieczeniu stropów
korytarza.

Zbliżało się Boże Narodzenie 1944 roku – szóste święta
wojenne i drugie w katakumbach Sowich Gór.

Późną jesienią dotarła do więźniów wieść o tym, że
Lubelszczyzna, Rzeszowskie i część północnych ziem Polski
zostały wyzwolone. Oczekiwano każdego dnia wiadomości o
tym, że ruszyła ofensywa.

Administracja obozowa zabroniła więźniom urządzania
Wigilii, nie wolno było śpiewać kolęd ani urządzać w
barakach choinki.

Jeszcze w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia
esesmani powiesili dwóch więźniów z komanda w Sierpnicy.

Podobno więźniowie ci w czasie załadowywania w

walimskiej fabryce lniarskiej bel materiałów... wdali się w rozmowę z personelem, fabrycznym.

– To już chyba nasz ostatni wieczór wigilijny. Albo nie dożyjemy następnego, albo będziemy go obchodzić u siebie w domu.

– Masz rację, nie ma mowy, żeby wytrzymać tu do następnych świąt. Cała nadzieja w tym, że wszystko się szybko przewali...

– Słuchajcie no – z drugiego rogu baraku odezwał się zarośnięty mężczyzna – zabronili nam dziś śpiewać kolędy, ale ludowe pieśni chyba można, nie?

– Niby racja...

Jedna za drugą popłynęły pieśni: najpierw „Pasala wołki na bukowinie”, potem inne polskie, serbskie, rosyjskie, czeskie... Późno po północy pokładli się więźniowie na swoich narach. Nazajutrz był, niestety, zwykły dzień pracy. Tylko esesmani i funkcjonariusze OT mieli się zmieniać co dwie godziny.

– Czy pańskim zdaniem, panie generale, można by już użyć wyrzutni do zwalczania wroga?

– Czy idzie panu o niszczenie obiektów wroga na terenach przez niego zdobytych?

– No, tak właśnie myślałem.

– Niestety, wróg posuwa się bardzo szybko i zajmuje tereny, na których znajduje się ludność rdzennie niemiecka.

Bombardowanie tych obszarów i rażenie ludności niemieckiej byłoby dla nas z wielu względów niekorzystne.

Zresztą, użycie w chwili obecnej pocisków raketowych o stosunkowo niewielkiej sile burzącej nie zmieni naszej sytuacji... Możemy co najwyżej zrujnować miasta, ale nie zniszczymy siły żywej przeciwnika ani jego czołgów, artylerii, samolotów. Wróg postępuje szybko naprzód, w dodatku na różnych kierunkach i w szyku rozczłonkowanym. Nie wiadomo, kiedy i co bombardować naszymi raketami.

...?

– Na razie wstrzymamy się. Myślę, że nie w raketach należy szukać ratunku.

Kłeska

Nowy Rok w niczym nie zmienił sytuacji więźniów. Mimo trudnych warunków atmosferycznych, mimo dużych opadów śnieżnych i trudności komunikacyjnych budowa postępowała naprzód. Lotnictwo alianckie nadal nie bombardowało tutejszych obiektów. Wbrew wszystkim poprzednim sądom wyglądało na to, że alianci nie znają tajemnicy Sowich Gór.

Mimo ścisłej izolacji i panującego terroru do więźniów docierały różnymi drogami informacje o tym, co dzieje się na zewnątrz. Wiedzieli, że obszar Rzeszy bombardowany jest codziennie przez lotnictwo sojusznicze, że Niemcy coraz mniej się liczą w powietrzu, że wyzwolona została Francja, Belgia, część Holandii...

Równocześnie jednak z napływem coraz większej ilości krzepiących wieści sytuacja więźniów stawała się coraz bardziej beznadziejna. Wzrastała wśród nich śmiertelność, spowodowana morderczym wysiłkiem i coraz bardziej głodnymi racjami żywnościowymi.

Niemiecki personel obozu, choć nadal zmuszał więźniów do nadmiernego wysiłku, spokojniał jakby i zgubił dawną butę. Esesmani nie urządzali już hucznych zabaw, coraz rzadziej też zdarzało się, by któryś z nich zjawił się na terenie budowy w stanie nietrzeźwym. Być może dlatego, że wódki po prostu nie było. Zmalały też przydziały papierosów, widać było wyraźnie, że esesmani węższą za tytoniem, a niektórzy – nie krępując się – palą chłopską samosiejkę.

Nigdy w przeszłości nie było w Sowich Górach tylu wizyt, co obecnie. Wyglądało na to, że przywódcy Rzeszy popędzają kierowników budowy

do

zwiększenia

wysiłków.

Generalowie i cywile z Berlina odwiedzali wszystkie
ważniejsze odcinki; wchodzili na teren strefy D, do labora-
toriów, do których esesmani mieli surowy zakaz wstępu.

Wszystko wskazywało na to, że Berlin oczekuje czegoś, co
w ostatniej fazie wojny odwróci koleje losu i przechyli szalę
zwycięstwa na stronę Rzeszy. Czyżby ratunek ten miał
przyjść stąd, z podziemnych laboratoriów Sowich Gór?

– Kiepsko z nimi – pocieszali się między sobą więźniowie.

– Może uda się dożyć, może się. to wszystko zawali...

– Aby tylko nie nam na głowy – odpowiadali sceptycy.

Wszędzie – w głębi tuneli, w podziemnych halach, na
powierzchni, Obok kuchni więziennej, w barakach i
ziemiankach jenieckich czuło się klęskę.

Sami esesmani nie próbowali już ukrywać przed
więźniami aktualnej sytuacji. Spochmurnieli, chodzili
milczący, byli i tacy, którzy przez palce patrzyli teraz na
więźniów uchylających się od nadmiernego wysiłku.

Stan ten trwał przez całą pierwszą połowę miesiąca. W
dniu 14 stycznia, w czasie kiedy we wszystkich działach
praca toczyła się pełną parą, stała się nagle rzecz, o której
marzyli zatrudnieni tu więźniowie, której tysiącom ich

kolegów nie dane było doczekać. Wielka budowa stanęła.

I to stanęła na dobre. Nietrudno było się tego

domyślić, patrząc na oficerów SS i SD, Wehrmachtu i

lotnictwa, na wyższych funkcjonariuszy OT.

W ciągu najbliższych godzin nic się nie działo i

więźniowie

pozostawali

bezczyinnie

na

swoich

odcinkach pracy. Dopiero później strażę zaczęły

wyprowadzać więźniów z podziemnych tuneli i

pomieszczeń, z odcinków budowy naziemnej.

W barakach i ziemiankach zapanowała radość, a

jednocześnie strach. Czy w sytuacji, jaka zaistniała,

SS nie zechce pozbyć się niewygodnych świadków?

Różne domysły przychodzą ludziom do głowy,

każdy rozważa dziesiątki różnych możliwości – co

nastąpi teraz, kiedy wszystko wzięło w łeb?

– Wiadomo, co nastąpi – mówi flegmatycznie

sierżant radziecki, owinięty workami, odziany w

spodnie, na których każda Jata jest z innego

materiału i innego koloru. – Przyjdą nasi i zatańczą z

nimi kozaka...

**Wieczorem przyjechał z Walimia tamtejszy lekarz,
przywożąc ze sobą esesmana, ofiarę zatrucia.**

**Podoficer zatrul się w czasie libacji we wsi koło
Walimia, a obecnie leżeć miał w izbie chorych w
Jugowicach.**

**W tejże izbie chorych zatrudnieni byli także
więźniowie – Francuzi i Polacy. Znajdował się wśród
nich pewien lekarz z Bydgoskiego. I tu, w rewirze,
dyscyplina była już poważnie zachwiana. Polak,
korzystając z nieuwagi esesmanów, złapał „języka” od
swego niemieckiego kolegi po fachu.**

**Jakim sposobem wieść rozeszła się jeszcze tego
samego dnia do większości komand, do baraków i
ziemianek w Sierpnicy, do odrutowanych obozów w
Walimiu i pomieszczeń więźniarskich w Jugowicach
– tego nikt nie wiedział. Faktem jest, że olbrzymia
większość więźniów powtarzała między sobą,
pijane ze wzruszenia i szczęścia:**

– Front wschodni ruszył! Olbrzymia ofensywa!

Rosjanie idą naprzód w szalonym tempie.

**Dyrekcja budowy ogłosiła, że w związku z
działaniami wojennymi oraz dla lepszego wy-
korzystania**

maszyn

przeprowadzony

zostanie

demontaż wszystkich ważniejszych urzędzeń, po czym

praca zostanie podjęta w nowym miejscu...

Wiadomość tę przekazano więźniom za pośred-

nictwem podoficerów SS i funkcjonariuszy OT. W

komandach I-1, I-2 i I-3 poinformował o tej decyzji

władz hauptsturmführer SD, odpowiedzialny za

ochronę tego sektora.

– Kiedy może nastąpić nasz wyjazd?

– Myślę, że to kwestia kilku dni. Dokładnej daty

jeszcze nie znam...

– Czy tu już nie wrócimy?

– Tego nie wiem, Herr Doktor. Być może, jest to

posunięcie taktyczne. Możliwe, że wkrótce znów się tu

spotkamy. Nikomu z panów nic złego nie grozi. Macie,

panowie, zapewnioną opiekę władz niemieckich.

Jesteście tylko chwilowymi więźniami, władzom

niemieckim zależy na was... Jesteście nam nadal

potrzebni.

Siedziba Naczelnego Dowództwa.

Narada ekspertów w gabinecie szefa sztaba. Uczestniczą

w niej wojskowi i cywile.

– Jak panom wiadomo – zwraca się do zebranych wysoki, szczupły– mężczyzna w mundurze generała artylerii –

Rosjanie rozpoczęli ofensywę na całej długości frontu...

Należy liczyć się z tym, że nie uda nam się utrzymać terenów okupowanych. Możemy utracić Śląsk i znaleźć się w sytuacji z 1939 roku. Mam na myśli, oczywiście, kwestię granic. W związku z tym wydane już zostały rozkazy o ewakuacji ludności, urzędzeń i maszyn. Zabierzemy wszystko, co się da, nie zostawimy wrogowi niczego, co mogłoby mu się przydać w dalszej wojnie przeciw nam. Nasze wyrzutnie, wprawdzie nieczynne i pozbawione aparatury, również nie powinny się dostać w ręce nieprzyjaciela. W czasie demontowania urzędzeń w Sowich Górach zdążymy bez specjalnego trudu zniszczyć wyrzutnie i urządzenia pomocnicze. Nawet gdyby wszystko szło po ich myśli, Rosjanie nie dojdą do tej części Śląska wcześniej niż za trzy, do pięciu miesięcy.

*

W ponurym nastroju przystąpili technicy do demontażu.

To, co było ich dumą, dowodem potęgi przemysłowej, potęgi mózgow i mięśni, miało zostać przez nich samych zniszczone, rozebrane do najdrobniejszych części, rozbite, wywiezione.

Od świtu do zapadnięcia zmroku trwał demontaż i niszczenie wyrzutni – dwóch gotowych i jednej nie wykończonej. Podstawy stalowych nóg piłowano tuż przy cemencie, jakby stal ta miała się jeszcze na coś przydać. Jedno po drugim likwidowano przęsła, stalowe siatki, urządzenia pomocnicze.

Jeszcze nie zakończono demontażu urządzeń konstrukcyjnych, a już inna grupa robotników wierciła otwory w podstawie cementowej; były to przygotowania do rozsadzenia potężnych brył cementu.

Pod koniec lutego wywieziono na wielkich lorach zasadnicze części konstrukcyjne, przez dwa następne tygodnie wywożono urządzenia pomocnicze.

Sowa pozbywa się pazurów

Trwa demontaż specjalnych urządzeń w głębi i na powierzchni gór. Wszystko, co zostało zbudowane rękami dziesiątków tysięcy więźniów, rozbierane jest teraz sztuka po sztuce. Dniem i nocą trwa pośpieszna praca, nadzorowana przez więzionych naukowców i esesmanów, W ręce zbliżającego się przeciwnika nie powinno się dostać nic

z tego, co takim nakładem sił i środków wznoszono mozolnie

w ciągu długich miesięcy. .

Znów w Sowich Górach pojawili się ludzie, znani już

strażom,

personelowi,

dyrekcji

i

kierownikom

poszczególnych odcinków budowy.

W mundurach generalskich z naszywkami i dystynkcjami

różnych formacji przyjeżdżają na krótko, wyjeżdżają po

kryjomu, najczęściej późną porą popołudniową.

Demontaż prowadzony jest przy zachowaniu niemalże

takich samych rygorów, jakie przez dwa lata stosowano przy

budowie całego systemu urządzeń Sowich Gór. Odcinki

demontażu obstawione są gęstą siecią posterunków; przy

każdej

grupie

więźniów

czuwa

starszy

stopniem

funkcjonariusz OT i umundurowany funkcjonariusz SD.

– Charles, komando, które pracowało przy demontażu

urządzeń na odcinku 4–S, nie wróciło na obiad. Ciekawe, gdzie mogli ich zabrać.

– Mów ciszej, przygląda się ten z OT... Nie wiem, co się z nimi stało, ale skoro demontowali urządzenia na górze, to nie chciałbym być na ich miejscu... Wolę kible szorować, niż mieć cokolwiek wspólnego z czwórką...

Do pracujących podszedł funkcjonariusz OT.

– Cóż to, robić wam się nie chce? Czy w ten sposób pakuje się urządzenia laboratoryjne? – Pytaniu towarzyszyło kopnięcie; Charles skrzywił się boleśnie i zabrał natychmiast do pracy. – Jeżeli tak będzie dalej, nie doczekacie obiadu, szlag was trafi na miejscu, wy świnię francuskie, hołota...

Niemiec poprawił pas na płaszczu i spokojnym krokiem odszedł do następnej grupy.

– Boli cię, Charles?

– Już przeszło, Renę. Gorzej, że mogą nas chcieć sprzątnąć... Za dużo widzieliśmy...

– Nie przypuszczam, zbyt wielu nas jest, aby wszystkich sprzątnęli... Gorzej z tymi, co obsługiwali laboratoria, a teraz pracują przy demontażu.

Zamilkli pod świdrującym spojrzeniem nadchodzącego esesmana.

– Charles, a może spróbowałibyśmy stąd zwiać? – zapytał

Renę szeptem, gdy Niemiec oddalił się znowu. – Wydaje mi się, że front jest już niedaleko. Wystarczyłoby skryć się gdzieś w tym pustkowiu i przeczekać...

– Nie wydaje mi się to możliwe. Zanim front podejdzie, złapią nas i powieszą na pierwszym lepszym drzewie.

Na placyku przed budową stoją załadowane wozy ciężarowe, kryte plandekami. Wśród nich uwijają się esesmani, obok formuje się kolumna konwoju: motocykliści uzbrojeni są w pistolety maszynowe i erkaemy, w przedzie i na końcu kolumny stoją dwa wozy pancerne. Z wieżyczek wystają lufy sprzężonych kaemów.

– Achtung! – esesman z pejczem w ręku przebiega obok wozów. – Komando robocze 2–S formuje się w szereg!

– Starszy komanda, sprawdzić stan obecności !

– Wszyscy obecni, sturmscharführer! Otoczeni przez esesmanów więźniowie maszerują pod górę. Po drodze mijają dwie grupy, robocze zdążające w przeciwnym kierunku.

– Charles, dokąd oni nas prowadzą? Tędy nigdy nie chodziliśmy do pracy.

– Nie wiem, dokąd nas prowadzą, ale wiem to, że jak się tylko nadarzy okazja, trzeba wiać.

– Myślisz, że może nam coś grozić?

– Tu zawsze coś grozi więźniowi. Czasem tylko kopniak, czasem kula. Nie jesteśmy przecież na Rivierze...

W miejscu gdzie drogi krzyżują się ze sobą, idący na czele kolumny sturmscharführer skręcił w lewo i zszedł zarośniętym zboczem w dół.

– Wchodzić do tunelu!

Esesmani ustawili się z bronią gotową do strzału, mierząc w stronę więźniów.

– Szybciej! Nie mam zamiaru moknąć tu przez was!

– Charles!

– Nic nie poradzimy na to, Renę. Na wszelki wypadek trzymaj się, stary...

– Hauptsturmführer, polecenie odnośnie do komanda 2–

S wykonane zgodnie z rozkazem!

– Czy inni więźniowie nie domyślają się czegoś?

– Nie. Z tym tylko, że po drodze minęliśmy dwa inne komanda, maszerujące w stronę rampy...

– Ci nie są groźni. Załadowują butle z mieszanką. Potem

Braun wyprowadzi komando 1–T, a Schilling komando 3–T.

Do wykonania polecenia przekaże mu pan swoich ludzi...

Pan sam nie powinien przy tym być. Więźniowie widzieli już

pana idącego z tamtą grupą, mogliby się zaniepokoić. Nie

potrzeba nam szumu, a Boże broń buntu. Jest ściśle

polecenie unikania wszelkich komplikacji.

– Jawohl, Hauptsturmführer.

– Jak pan myśli, profesorze, po co nas tu ściągnęli?

– Nie wiem, panie Norbercie. Ja również nie mogę

zrozumieć, o co chodzi. Od kilku dni stanęło wszystko na

głowie. Kazano nam zniszczyć to, co przez niemal dwa lata

tworzyliśmy z takim trudem. Poza tym stosunek nadzoru

technicznego i straży uległ wyraźnie zmianie na niekorzyść.

Nie wiem, co o tym sądzić.

– Wydaje mi się, panie profesorze, że zbliża się jakaś

zasadnicza zmiana w naszym życiu. Widziałem, jak nasz

zwierzchnik, wychodząc ze swego gabinetu, opróżnił kasę

pancerną, paląc kilka dokumentów w łazience.

– To niedobrze... Oni są zdolni do najgorszego świństwa...

Niestety, nie widzą żadnych możliwości ucieczki.

– Czyżby, panie profesorze, sytuacja była aż tak

niebezpieczna?

– Wszystko możliwe, proszę nie zapominać, że mamy do

czynienia z mordercami bez skrupułów.

Otwarły

się

drzwi

baraku,

weszło

dwóch

umundurowanych funkcjonariuszy SD.

– Za godzinę wyjeżdżamy stąd, proszę się przygotować do podróży.

– Czy daleko jedziemy, untersturmführer?

– Sto dwadzieścia kilometrów. Najpóźniej za trzy godziny będziemy na nowym miejscu. Wyjazd nastąpi grupami.

Jedziecie, panowie, po dziesięć osób, żeby było wygodniej i częściowo ze względu na bezpieczeństwo panów. Lotnictwo nieprzyjacielskie bombarduje wszystkie drogi.

*

– Gruppenführer, melduję, że grupy techniczne I-1, I-2, I-3 dotarły do celu zgodnie z rozkazem.

– Nie mieliście trudności z nimi?

– W zasadzie nie. Jedyne profesor z pracowni I-1 naruszył porządek. W ostatniej chwili, już przed wejściem do komory, połknął cyjankali. Widocznie zorientował się, o co idzie.

– Czy po wykonaniu polecenia zastosowano środki, które zaleciłem?

– Wszystko zostało wykonane zgodnie z pańskim rozkazem.

– Dziękuję panu, hauptsturmführer... Rosjanie są już nad

Odra, wkrótce będą tutaj. Dziś wieczorem zbierze pan swój oddział i podziękuje w moim imieniu za solidną i trudną służbę.. Pozwalam na urządzenie małego przyjęcia i oddaję do pańskiej dyspozycji cztery skrzynki wódki...

– Dziękuję panu serdecznie, gruppenführer. Moim ludziom należy się rzeczywiście rozrywka.

– Chętnie odwiedziłbym was w czasie tej kolacji, ale niestety, obowiązki wzywają mnie do Berlina.

– Żałuję bardzo, gruppenführer, że nie będzie pana z nami.

– Nic nie szkodzi... Z tym tylko, że wódkę należy wypić jeszcze dziś, gdyż jutro możecie już być potrzebni do innych zadań i nie zdążycie się zabawić.

*

– Richter?

– Jawohl, Gruppenführer.

– Za godzinę zgłosi się do pana szef gospodarczy grupy hauptsturmführera Friedmana. Proszę mu wydać cztery skrzynki wódki. Te, które przywieźliśmy wczoraj.

– Tak jest, ale tam jest pięć skrzynek.

– Piątą, tę w opakowaniu firmowym, należy zostawić w moim pokoju.

– Posłusznie zapytuję, gruppenführer, czy mam jeszcze wydać coś z pańskich zapasów?

– Niczego więcej.

*

– Gruppenführer, wydarzyło się nieszczęście... Cały oddział hauptsturmführera Friedmana nie żyje... Został chyba zatruty czymś, jeden tylko sturmmann Hoenick daje znaki życia, ale i on dogorywa.

– Rzeczywiście przykra wiadomość, Baumann. No cóż, wojna, nie mamy czasu na cackanie się. Ciała polać benzyną i spalić... Osobno spalić dokumenty wojskowe zmarłych... Albo nie, przynieście te dokumenty tutaj.

– Jawohl, Gruppenführer. A. co z rodzinami?

– Jeszcze dziś zawiadomić listownie rodziny zmarłych o tym, że ich bliscy polegli śmiercią bohaterów, służąc führerowi i ojczyźnie. Dosłownie w ten sposób. Ani słowa więcej... Dodajcie przy każdym nazwisku, że zmarły spłonął w pomieszczeniu bojowym.

– Jawohl, Gruppenführer.

– I milczeć.

– Jawohl.

9 maja 1945

Dzień 9 maja zaczął się dla mieszkańców Walimia dużo wcześniej, niż to zazwyczaj bywało. Ludzie wstali nad ranem, kiedy jeszcze ziąb ogarniał wszystko dokoła, a chłód płynący z gór przenikał do szpiku kości.

Nikt z mieszkańców osiedla nie myślał przystępować dziś do pracy. Wojna, która toczyła się wokół, podeszła bardzo blisko walimskich pól, czuło się to, nie wychodząc nawet za próg domu.

Ludzie nie wiedzą, czy na przedpolach Walimia i najbliższych osad znajdują się żołnierze niemieccy, czy będą toczyły się w pobliżu walki, czy też wojna przejdzie bokiem. Na wszelki wypadek matki ścielą słomę i siano w piwnicach, do ogrodów znoszą pościel, zakopują w ziemi, co się da.

Wszystkie te przygotowania, aczkolwiek gorączkowe, odbywają się w milczeniu – ludność cywilna zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że w każdej chwili mogą w osadzie pojawić się esesmani, żandarmeria, policja, mogą mścić się na „panikarzach” i „zdrajcach”.

**Trwoga
ogarnęła
mieszkańców
okolicznych**

miejsowości.

Nikt nie bronił Walimia, Kolc, Jugowic, Sierpnicy, nikt nie stawiał oporu żołnierzom, którzy doszli aż tu z olbrzymich przestrzeni syberyjskich, z pół Ukrainy.

Żadne działo artyleryjskie, żaden niemiecki czołg nie wyrzuciły z siebie ani jednego pocisku, kiedy na wąskiej szosie wiodącej od strony Wałbrzycha ukazały się wozy pancerne z wymalowaną na nich czerwoną gwiazdą, W tym samym czasie zajęte zostały Jugowice, Sierpnica i Kolce.

Zwycięscy żołnierze przemknęli uliczkami osady, obok zakładów lniarskich, kierując się w stronę Rzeczek, gdzie u podnóża wielkiego zbocza widniały czeluście dwóch tunelów.

W

Jugowicach,

w

pobliżu

wejść

do

tunelów,

nagromadzone

były

olbrzymie

ilości
sprzętu
me-
chanicznego. Obok tokarek i frezarek stały małe lokomotywy
spalinowe,
służące
do
przetaczania
wagonów
wąskotorowych,
piętrzyły
się
stosy
przewodów
elektrycznych, wały się skrzynie bezpieczników do tablic
rozdzielczych energii elektrycznej, wysoko ustawione Stały
stosy czerwonej cegły.

Na polanach leśnych znajdowały się składy cementu –
żołnierze obliczyli z grubsza, że worków tych mogło być
około dwustu tysięcy. Na trawie, obok murowanych
baraków, stały maszyny, których przeznaczenia trudno było
się domyślić.

Najciekawszy jednak widok przedstawiał płasko ścięty
stożek góry w Sierpnicy. Urządzono na nim coś w rodzaju

cementowej pokrywy, w której znajdowały się dziesiątki otworów, urządzeń o nieznanym przeznaczeniu, wyloty wentylacyjne, kanały. Z powierzchni pokrywy prowadziły stopnie w dół, do ocementowanych komór.

Cała ta góra wyglądała niesamowicie – nawet ci spośród

żołnierzy,

którzy

zupełnie

nie

orientowali

się

w

zagadnieniach chemii, hutnictwa i przemysłu, bez trudu

odgadywali, że kolosalna budowa, która się przed nimi

rozpościerała, nie była przeznaczona na potrzeby człowieka.

Urządzenia, sięgające w głąb góry, stanowiły groźbę dla życia

ludzkiego, służyły, bądź miały służyć, do unicestwiania ludzi.

O niezwykłym, niecodziennym charakterze tej budowy

świadczyło i to, że w najbliższym sąsiedztwie owego

monstrualnego laboratorium znajdowały się częściowo

zamaskowane siatką ochronną i drzewami urządzenia

obronne.

Wśród zieleni widoczne były żelbetonowe platformy pod

ciężkie działa artyleryjskie, obok nich, w cementowej

obudowie, znajdowały się ciężkie podstawy dla agregatów.

Wszędzie wokół czuć było kwasy chemiczne, unosiła się woń rozlanej benzyny, ropy, olejów.

Do pni drzew przytwierdzone były tabliczki z napisami i znakami kolorowymi. Zbocze góry od strony wlotu do tunelu zarastały dzikie krzewy i wysoka trawa, gdzieś widać było olbrzymie głazy; na niektórych z nich wymalowane były kolorem czerwonym, niebieskim i białym znaki złożone z cyfr i liter.

Cała okolica, szczególnie w najbliższym sąsiedztwie tunelu, wyglądała jak pobojowisko – na duktach leśnych wałala się porzucona broń, koła od wozów wojskowych, amunicja, części żołnierskiego ekwipunku...

Fachowcy bez trudu rozpoznawali, skąd i jaką broń, wymontowano w pośpiechu.

Kłeska – tylko tak można było odczytać to, co zastano w Sierpniczy, Walimiu, Kolcach, Jugowicach. Czuć ją było w powietrzu, mówił o niej opustoszały las, martwe i nieprzydatne już na nic siatki ochrony maskującej, walająca się na ziemi i w trawie broń, która nie posłuży już zbrodni.

W dwadzieścia lat później

Informacje na temat tego, co działo się w Sowich Górach w latach 1943–1945, docierały do biura Głównej Komisji

Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce już od pierwszych

lat powojennych. Rzadziej były to relacje naocznych świadków wydarzeń, częściej – osób osiadłych w tym rejonie już po zakończeniu działań wojennych.

Relacje były sprzeczne z sobą, nieuporządkowane, niektóre zakrawały na oczywistą fantazję. W rezultacie przez wiele lat nie było pewności, co jest w tym wszystkim prawdą, a co fikcją. Pracownicy Głównej Komisji, prowadząc akcje związane

z aktualnymi potrzebami

w dziedzinie

demaskowania zbrodni hitlerowskich, nie mogli, niestety, w tym okresie zająć się sprawą Sowich Gór.

Dopiero latem 1964 roku redakcje dwóch gazet – „Żołnierza Wolności” i „Expressu Wieczornego” – zamieściły serię artykułów na temat Sowich Gór.

W ostatnich dniach czerwca Główna Komisja postanowiła zbadać sprawę na miejscu, przesłuchać naocznych świadków i tych spośród osadników, którzy z jakichkolwiek źródeł wiedzą coś o wydarzeniach z lat wojennych na terenie gór.

Postanowiono również zbadać przy pomocy saperów i specjalistów innych dziedzin niektóre z zachowanych

obiektów.

Pomoc

techniczną

zapewniło

dowództwo

Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Współpracujący z Główną Komisją Badania Zbrodni

Hitlerowskich Speleoklub Warszawskiego Oddziału PTTK

oddelegował

do

akcji

sekcję

grotołazów.

Grupie

poszukiwawczej

towarzyszył

znany

fotoreporter

i

fotodokumentalista – Ryszard Dutkiewicz, dzięki któremu

wzbogacony został dokumentalny materiał fotograficzny do-

tyczący Sowich Gór.

Było późne popołudnie 23 lipca 1964 roku, kiedy wóz

wtoczył się na podwórze jednego z domów na krańcu

Walimia. Na miejscu oczekiwał pluton saperski pod dowództwem porucznika Turka, specjalisty – sapersa.

Żołnierze byli już zagospodarowani na dwóch piętrach starego domu, na podwórzu stały dwa wozy – ciężki Star terenowy i łazik oraz kuchnia polowa.

O kilkaset metrów stąd, niedaleko wejścia do lochów, złożono skrzynię z materiałem wybuchowym. Ładunku strzegli żołnierze z plutonu porucznika Turka.

Już następnego dnia o godzinie dziewiątej rano nastąpił wyjazd do Sierpnicy, oddalonej od Walimia o pięć kilometrów. Towarzyszący grupie major Szenkowski z DOW Śląsk pomógł odnaleźć wejście do głównego korytarza.

Rozpoznał on również miejsce, w którym znajdował się jeden z licznych obozów. Właśnie tu major był więziony w czasie wojny i pracował na odcinku budowy. Jest jednym z nielicznych, którym udało się cudem uniknąć zagłady.

Już pierwszego dnia przesłuchano dwóch świadków, w ciągu następnych – przeprowadzono próbne kopanie masowego grobu więźniów z obozów na terenie Walimia.

W ciągu tygodniowego pobytu ekipa, pracując po kilkanaście godzin na dobę, zebrała materiał, który pozwala ustalić bliżej fakty sprzed dwudziestu lat.

Budowę rozpoczęto w styczniu lub lutym 1943 roku. W osadzie Jugowice zbudowano wówczas drewniane baraki,

których pierwszymi mieszkańcami byli jeńcy radzieccy.

W ciągu dwóch tygodni zabudowano barakami jenieckimi połowę wsi. W następnych miesiącach przywożono do Jugowic więźniów i jeńców różnych narodowości, w ostatnim okresie – niemal wyłącznie Żydów.

Świadkowie zeznali, że latem 1943 roku prowadzono od strony stacji kolejowej kolumnę więźniów – Żydów, liczącą pięć – sześć tysięcy osób. Widzieli później, jak jeńcy radzieccy i Żydzi ginęli masowo w czasie przemarszów do pracy i z pracy.

Kiedy budowa szła pełną parą, ruch na drogach był tak wielki, że niebezpieczeństwem dla życia było nieostrożne chodzenie po okolicznych drogach. Świadek Gustaw Schneider, wracając kiedyś z pracy, został potrącony przez maszynę należącą do OT i przeleżał trzy miesiące w szpitalu w Świdnicy.

Ludność miejscowa mówiła między sobą o tym, że po zbombardowaniu zakładów Kruppa w Essen władze przeniosły to, co ocalało, do Sowich Gór.

**Budowa
otoczona
była
posterunkami,
które**

rozmieszczone były co pięćdziesiąt metrów. Wachmani strzelali do osób, które choćby niechcący naruszyły pas strzeżony.

Ciała zmarłych jeńców zabierano nocą. Nikt z mieszkańców osady nie wiedział, gdzie je chowano.

Do systemu Sowich Gór należały organizacyjnie również budowy

w

Langenbilon,

Walimiu,

Ancherhausdorf,

Głuszycy, aż do granicy czeskiej, do Frydlandu.

Mieszkańcy wsi widywali często, jak eskorta wachmańska biła więźniów podnoszących z ziemi kartofle, skórkę chleba lub liść buraka.

We wsi zatrudnieni byli jeńcy w różnych mundurach, ale świadkowie nie potrafią już dziś określić, jakie to były mundury.

Z materiału wydrążonego z wnętrza gór budowano drogi, resztę wywożono gdzieś. Sporo gruzu skalnego zostało do dziś na miejscu.

Więźniowie, którzy przetrwali do stycznia 1945 roku, zostali wywiezieni w niewiadomym kierunku. Nikt nie potrafi o tym dzisiaj nic powiedzieć, ponieważ w czasie kiedy

się to działo, mieszkańcy Jugowic przebywali w lesie.

Nadzór z OT jak i z SS opuścił Jugowice na kilka dni przed wkroczeniem wojsk radzieckich.

Świadkowie oceniają liczbę więźniów, pracujących jednocześnie w Jugowicach, na cztery i pół, do pięciu tysięcy osób, z tym że w ekipach panowała wysoka śmiertelność, w związku z czym następowała ciągła wymiana – miejsce jednych zajmowali natychmiast inni, którzy w zastraszająco krótkim czasie dzielili ten sam los. Co stało się z więźniami, zatrudnionymi tu w ostatnim okresie, nikt ze świadków nie wiedział. Tak jak się nagle pojawili w styczniowy dzień 1943 roku, tak nagle znikli. Nikt z mieszkańców osady nie widział, dokąd wyprowadzono ludzi w pasiakach i strzępach mundurów.

Świadkowie z Walimia wnieśli pewne nowe szczegóły.

Jeszcze w roku 1946 przed wejściem do jednego z tunelów leżały dwie rozbite, duże kasy pancerne. Zwracał uwagę fakt, że nie były to zwykłe kasy, lecz szerokie, niemal na długość ściany przeciętnego pomieszczenia.

Kilka

zwykłych

biurowych kas pancernych stało w miejscu, gdzie dawniej

znajdowały się pomieszczenia dyrekcji.

**Mieszkańcy Walimia potwierdzają wersję o zamiarach
produkcowania broni specjalnej.**

**Ustalono skład narodowościowy zatrudnionych więźniów
i jeńców; hitlerowcy zwieźli do odrutowanych baraków w
Sowich Górach Rosjan, Polaków, Włochów, Żydów, Belgów,
Francuzów, Litwinów, Estończyków, Serbów, Kroatów, Boś-
niaków.**

**Od
roku**

1944

na

terenie

Głuszycy

(dawniej

Wüstegirsdorf) znajdowały się obozy, w których przebywali

powstańcy

warszawscy,

Włosi,

Rosjanie,

węgierskie

Żydówki.

Dyrektor odcinka Wüstegirsdorf, Künsel, polecił w

styczniu 1945 roku demontować i pakować urządzenia.

Wywożono wówczas wszystkie maszyny precyzyjne, części

samolotów, maszyny ciężkie.

Pakowanie i wywózka trwały bez przerwy dniami i

nocami. Zeznający w tej sprawie mieszkaniec Walimia,

Franciszek Hain, powiedział, że więźniów odzianych w

pasiaki pędzono następnie w stronę granicy czeskiej.

Świadek słyszał od ludzi przyjeżdżających z tamtego

kierunku, że eskorta rozstrzeliwała po drodze więźniów, nie

słyszał natomiast, aby na terenie gór wymordowano

wszystkich. W momencie ewakuacji i demontażu urządzeń

komendantka obozu kobiecego SS, untersturmführer

Fischer, powiedziała Kainowi, że SS zamierza rozstrzelać

wszystkie Żydówki.

Zeznania, a jest ich cały plik, potwierdzają, że budowa

prowadzona była z zachowaniem największej tajemnicy. W

rozmowach z miejscową ludnością hitlerowcy rozpowiadali,

że tunele służyć mają jako schrony. Nikt w to, oczywiście, nie

wierzył, a wszystko co towarzyszyło budowie, było

zaprzeczeniem wersji rozsiewanych przez esesmanów i

funkcjonariuszy OT.

Ekipa Głównej Komisji urządziła kilka wypraw w głąb

korytarzy podziemnych. Specjaliści ustalili technikę kucia

chodników

i

ich

przypuszczalne

przeznaczenie.

Stwierdzono, że stropy w podziemiach stanowią obecnie

śmiertelne zagrożenie dla zwiedzających.

Podpory i szalowania są zapleśniałe i przeważnie

przegniłe. Nawet głośniejsze mówienie w głębi korytarzy jest

niebezpieczne – od drgań powietrza może się zawalić strop.

Niektóre odcinki korytarzy są zasypane, innym grozi zasypanie w każdej chwili. Niebezpieczny jest również spód chodnika – utworzyły się tu głębokie zapadnie, wypełnione wodą, przejścia zawałone są masą żelastwa i zgniłych belek.

Utracenie światła grozi tragiczną katastrofą; niemożliwe byłoby wydostać się z dalszych partii korytarzy do wyjścia.

Ekipa, dotarwszy w kilku miejscach do końca ślepych korytarzy, natrafiła na rzecz ciekawą: w skalnych ścianach tkwią wbite wiertła górnicze. Tędy miano przebijać dalsze partie korytarza, ale już nie zdążono.

Ekipa szła śladami więźniów, którzy nigdy nie powrócili do rodzinnych domów, po których zaginął wszelki ślad.

Nie udało się odnaleźć około siedemdziesięciu tysięcy ludzi – robotów, bo taką mniej więcej liczbę podają w swoich zeznaniach świadkowie, udało się natomiast odnaleźć morderców; spora ich część, znana z imienia i nazwiska, żyje do dziś spokojnie w Niemieckiej Republice Federalnej.

Prawo NRF nie uznało potrzeby ścigania i osądzenia tych ludzi.

Na miejsce akcji przyjechali przedstawiciele prasy krajowej i zagranicznej, radia, telewizji i kroniki filmowej.

W miarę postępu prac i dokonywania nowych odkryć prasa zamieszczała wciąż nowe informacje na temat tego, co znale-

ziono i czego się dowiedziano w Sowich Górach.

W ślad za prasą krajową podjęła ten temat również prasa zagraniczna. Od momentu kiedy gazety w Niemieckiej Republice Demokratycznej zamieściły informacje dotyczące Sowich Gór, do redakcji tych pism zaczęli się zgłaszać ludzie, którzy w latach 1943–1945 przebywali na terenie Sowich Gór i tu zetknęli się z budową i budowniczymi tajnego systemu.

Między innymi zgłosił się obywatel niemiecki, były kierowca generalnego dyrektora całej budowy na terenie Sowich Gór. Zeznał on, że dyrektor generalny budowy systemu Sowich Gór jest tym samym człowiekiem, który nadzorował budowę Wilczej Jamy – kwatery polowej Hitlera w Kętrzynie.

Niektóre redakcje niemieckie przekazały Głównej Komisji w Warszawie relacje swoich czytelników, naocznych świadków tamtych wydarzeń, inne dostarczyły oryginalnych oświadczeń, złożonych w redakcjach.

Znaleźli się w Niemczech ludzie, którzy pomogli uzupełnić naszą wiedzę o Sowich Górach. Informacje ich okazały się rewelacyjne i zgodne ze sobą.

Okazało się, że system Sowich Gór podzielony był na trzy sektory: podziemną zbrojownię Rzeszy, sektor kwater polowych Hitlera,

Goeringa,

Himmlera

i

wreszcie

rozbudowany sektor obrony naziemnej.

W pracach na terenie Sowich Gór zaangażowanych było

ponad czterdzieści firm budowlanych, elektrotechnicznych,

drogowych, chemicznych, firm specjalizujących się w

budowie

maszyn

precyzyjnych

oraz

zakładów

organizujących laboratoria.

Sporo tych firm istnieje i prosperuje do dziś na terenie

Niemiec Zachodnich. Tylko niektóre z nich zmieniły nazwę.

Autorzy relacji zgodnie twierdzą, że w jednym z sektorów

Sowich Gór przygotowywano produkcję broni raketowej

pod nadzorem Wernera von Brauna, twórcy rakiety V-2,

dyrektora

technicznego

ośrodka

raketowego

w

Peenemünde.

Wobec

tego,

że

relacje

naocznych

świadków,

mieszkańców NRD, powtarzały się i potwierdzały, redakcja

warszawskiego „Expressu Wieczornego” zwróciła się w

lipcu 1964 roku depezą do von Brauna, który przyjął po

wojnie obywatelstwo USA i obecnie na terenie stanu

Alabama kieruje produkcją wielkich rakiet amerykańskich,

z zapytaniem, co jest mu wiadome na temat Sowich Gór.

Wobec milczenia ze strony von Brauna redakcja wysiała

w dniu 11 sierpnia 1964 roku następującą depezę.

W kilka dni potem otrzymano odpowiedź. Doktor Werner

von Braun zawiadamiał redakcją o tym, że... nigdy nie

słyszał o podziemnych zakładach w Sowich Górach.

W dniu 28 października 1964 roku „Trybuna Ludu”

zamieściła artykuł na temat Sowich Gór:

Odpowiedzialni za śmierć tysięcy więźniów

budownicowie hitlerowskich

podziemnych zbrojowni koło Walimia

żyją i działają w NRF

Przed kilkoma miesiącami prasa polska doniosła o odkryciu w górach koło Walimia pod Wałbrzychem rozległego systemu podziemnych korytarzy, hal i sztolni betonowych, które swymi rozmiarami przewyższają znane już podziemia w Kętrzynie i Spale. Budowali je jeńcy i więźniowie obozów koncentracyjnych w straszliwych warunkach.

Pracownik naukowy z NRD i publicysta Julius Mader, który zajmuje się tropieniem żyjących jeszcze bezkarnie zbrodniarzy hitlerowskich, natrafił już na pierwsze ślady odpowiedzialnych za śmierć niezliczonej ilości więźniów przy budowie tych sztolni.

Projekt podziemi Walimia najeżał do najważniejszych spośród łącznie sześciu podziemnych fabryk myśliwców i rakiet, których budową podjęto na osobiste pisemne zlecenie samego Hitlera. Upoważniony do podjęcia budowy został inżynier Xaver Dorsch – dyrektor departamentu i szef sektora „budownictwo wojskowe” w ministerstwie Rzeszy do spraw zbrojeń i produkcji zbrojeniowej. Ponadto powołano jako czynnik koordynujący tzw. „Jaegerstab”,

wyposażony w nadzwyczajne pełnomocnictwa i działający pod nadzorem skazanego w Norymberdze głównego zbrodniarza wojennego Alberta Speera. W sztabie tym poza Dorchem kierowniczą funkcję pełnił również inny wysoki funkcjonariusz ministerstwa Speera, Karl Otto Saur.

Z „Jaegerstabu” wychodziły instrukcje, zalecające, ażeby przy budowie podziemnych zbrojowni nie liczyć się zupełnie z więźniami.

W aktach procesu norymberskiego przeciwko zbrodniarzowi wojennemu marszałkowi lotnictwa

Milchowi znajduje się między innymi protokół „ściśle tajny” z rozmowy, jaką Saur odbył z Hitlerem 9 kwietnia 1944 roku. W protokole tym Saur stwierdza, że Hitler wyraził niezadowolenie z powolnego tempa budowy podziemnej fabryki w Walimiu oraz że polecił prujecie kierownictwa

budowy

"przez

„Organizację

Todt",

natomiast siłę roboczą miał dostarczyć Himmler.

„Na mojej liście głównych odpowiedzialnych za budowę

zbrojowni w Walimiu mam już dzisiaj około dwadzieścia

nazwisk – stwierdza dr Julius Mader. – Sześć spośród nich

odnalazłem na wybitnych stanowiskach gospodarczych i

państwowych NRF". Wśród nich znajduje się także Xaver

Dorsch i Otto Saur. Pierwszy jest współwłaścicielem biura

konstrukcyjnego „Dorsch – Gehrman", które ma swe filie

w Monachium, Hamburgu, Wiesbaden oraz w Kuwejcie.

Dorsch, który jest między innymi posiadaczem hitler-

owskiego „Orderu Krwi", wyróżniony został za czasów

bońskich tytułem rządowego mistrza budownictwa.

Wykonuje on także zamówienia dla Bundeswehry.

Z kolei Otto Saur jest właścicielem biura dokumentacji

technicznej w Monachium – Pullach, Jaiserstrasse 13. Jak

ujawniła prasa NRF, zajmuje się on tajnie eksperymentami

rakietowymi.

Współ oskarżonym jest także SS – hauptsturmführer dr

Karl Maria Hettlage, który kierował finansową stroną

budowy podziemi w Walimiu, a obecnie jest sekretarzem

stanu

w

bońskim

ministerstwie

finansów

oraz

zachodnioniemieckim przedstawicielem w europejskiej

wspólnocie węgla i stali.

Dr Fritz Schmelter, który jako SS – hauptsturmführer w

„Jaegerstab” spędził do Walimia jeńców wojennych i

więźniów z obozów koncentracyjnych, znalazł wpływowe

stanowisko

w

zachodnioniemieckim

towarzystwie

akcyjnym finansowania przemysłu we Frankfurcie nad

Menem.

Zwolniony

przedterminowo

przez

Amerykanów

zbrodniarz wojenny Milch ma wpływową funkcję w

koncernie Kloecknera.

Tylko minister zbrojeń Speer siedzi w więzieniu dla

głównych zbrodniarzy wojennych w Spandau w Berlinie.

*

Hitlerowskie kierownictwo nie zdążyło uruchomić budowy w zaplanowanej skali. W podziemnych tunelach nie zdążono wyprodukować ani jednej rakiety.

Spokój panuje dziś w Sowich Górach, nie słychać detonacji ani strzałów, nocami nie krążą patrole, nie ma policyjnych psów.

Szlakiem Sowich Gór przechodzą turyści pojedynczo i grupami, podziwiają piękny pejzaż, niekiedy zatrzymują się przed resztkami umocnień lub budowy, która kształtem i wyglądem nie przypomina znanych budow. Czasem pytają mieszkańca pobliskiej wsi o historię budowy, częściej przechodzą obok, nie zwracając większej uwagi na pozostałość z lat wojny. Zresztą mieszkańcy wsi zajęci są sprawami codziennego życia, spieszą do swoich zajęć i nie zawsze mają ochotę rozprawiać z turystami.

– Te bunkry? To jeszcze z wojny. Tam dalej więcej takich... Pisali już o tym w gazetach...

Spośród wymienionych w tym tomiku miejscowości jedynie w Kolcach znajduje się urządzony starannie cmentarz ofiar hitlerowskiego terroru. Leżą tam pochowani więźniowie żydowskiego obozu, zakatowani przez oprawców z SS i z Organisation Todt, z Wehrmachtu i Luftwaffe.

Na bramie cmentarnej widnieje kamienna tablica, która informuje, że Związek Bojowników o Wolność i Demokrację w Walbrzychu oraz rodacy „ku wiecznej hańbie oprawców hitlerowskich i ku wiecznej chwale pomordowanych” tablicę tę wmurowują.